POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień *Dnia 2-go grudnia 1944r.* **Rok VI. Nr. 48**

PO PIĘCIU LATACH

Równo pięć lat temu, 29-go listopada 1939, wyszedł na świat pierwszy numer "Polski Walczącej". Narodziła się ona w zapadłej wsi bretońskiej, w której przedtem nie postała noga Polaka. Los zrządził, że ten zabity kąt świata, o dziwnej, trudnej nazwie — Coëtquidan — stał się ważnym miejscem naszej historii. Tam, po klęsce wrześniowej, podtrzymano ciągłość polskiej siły zbrojnej, ciągłość walki o Polskę. Tam raz jeszcze, po raz któryś w dziejach, rozległ się nieśmiertelny głos: "Nie zginęła!" I potwierdziły go czyny, świadectwa pisane krwią. Potwierdzają aż do dziś.

Dlatego we wspomnieniu narodzin tego pisma nie ma i nie może być nic innego, prócz głębokiej powagi. Nie ma i nie może być nic, prócz chęci ogarnięcia jednym uściskiem wszystkich, do których to pismo przemówiło w ów chmurny dzień listopadowy, mówiło przez pełnych lat pięć i mówi w tej chwili. Nie ma i nie może być nic, prócz takiego samego spojrzenia w oczy rzeczywistości, takiego samego nazwania jej po imieniu, jak wtedy — pięć lat temu.

Jest wiele podobieństwa między tym, co leżało ciężarem na sercu pierwszych, zrazu nielicznych przybyszów do obozu Coëtquidan, a tym, co dziś stanowi treść myśli żołnierzy polskich na froncie włoskim, na froncie zachodnim, na okrętach wojennych, na lotniskach bojowych i szkolnych, w obozach kadrowych Wielkiej Brytanii i Środkowego Wschodu, w obozach zaciągu ochotniczego na ziemi francuskiej. Jednako daleka — dziś, jak pięć lat temu — droga do ojczyzny. Jednako ciężka myśl o niej.

Można, nawet trzeba powiedzieć, że droga wydaje się niekiedy dalsza, że myśl o ojczyźnie jest jeszcze cięższa, niż była wtedy. Można i trzeba powiedzieć, że pięć lat odmierzonych numerami tego pisma — głęboko wyryło się w pamięci i czuciu każdego z nas. I tylu, z którymi byliśmy wtedy i później, nie ma już między nami.

Ale kto by zestawiał tylko podobieństwa między chwilą sprzed pięciu lat i chwilą obecną — nie obejmowałby całej prawdy. Pośrodku tych lat jest olbrzymi obrót koła, jest bezlik przeżyć złych, najgorszych ale i dobrych, klęsk ale i zwycięstw, są rozgromy ale i cudowne odrodzenia, są bolesne straty spośród najlepszych ale są i przypływy, przybytki świeżych sił, są rozdzierające rozłąki ale są i powroty, są odnalezienia się szczęśliwe. Jest coś, co stoi niezmiennie ponad tym wszystkim: żołnierz, który się bije, siła bojowa, która się liczy. Jest nieprzerwana ciągłość tego, co wyraziło się w dwu słowach nazwania pisma, w jego imieniu niezmienionym, ciągle tym samym od pięciu lat do dziś.

Ci, którzy stanęli na ziemi francuskiej, którzy w Coëtquidan zbierali się w nowe szeregi — nie mieli za sobą wielu bojów zwycięskich. Dławili się pamięcią klęski, walki beznadziejnej, nierównej szansy w liczebności i uzbrojeniu, we wszystkim. Dzisiejszy żołnierz polski złożył i składa bez przerwy dowody, że, gdy mu dać równą szansę — idzie od zwycięstwa do zwycięstwa, potrafi odwalić najcięższą robotę, wytrzymać wszystko: i Cassino i Chambois. Dzisiejszy żołnierz polski to uczestnik lub dziedzic zwycięskich walk w Norwegii, Libii, we Włoszech, we Francji, Belgii i Holandii, uczestnik lub dziedzic nieprzerwanej ani na chwilę od 1-go września 1939 służby bojowej okrętów polskich, uczestnik lub dziedzic chwały polskich skrzydeł, zdobytej w najbardziej może przełomowym momencie wojny — w powietrznej bitwie o Wielką Brytanię.

Gdy żujemy i połykamy gorycz, gdy niepewność ściska serce — warto o tym pamiętać. I jeszcze o jednym: o godności, o dumie żołnierza, który nie tylko zwyciężał, ale nigdy nikogo nie zdradził, nigdy nie zawiódł, który był towarzyszem broni, wiernym jednako w złych i dobrych chwilach. Do tej dobrze zarobionej dumy każdy z nas ma prawo. Jest ona dziś niezaprzeczona, bardziej bezsporna, niż pięć lat temu, gdy niektórym, co wojny jeszcze nie prowadzili, zdawało się, że nie zrobiliśmy dość, że powinniśmy byli zrobić więcej.

W ciągu minionych lat żołnierz polski był nie tylko wierny sojusznikom, ale wierny sprawie sojuszniczej — sprawie wolności. Dziś, płacąc cenę własnej krwi, przynosi tę wolność narodom kontynentu europejskiego. Co dzień otrzymuje dowody, że ludność włoska, belgijska, holenderska to rozumie. Że dla niej Polak znaczy: żołnierz-oswobodziciel. Że dla niej grób Polaka, to grób zasługujący na cześć powszechną i na powszechną modlitwę.

To poczucie szlachetnej misji, które jest udziałem każdego żołnierza II Korpusu, każdego żołnierza Dywizji Pancernej i Brygady Spadochronowej — stanowi własność wspólną wszystkich żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych. "Coëtquidańczycy" tego poczucia mieć nie mogli: przychodzili pobici, do wolnego, niepokonanego wtedy kraju szukać broni do walki o swoją wolność.

Spełniając szlachetne powołanie żołnierskie, dochowując wierności, kupując krwią wolność innych — mamy często, zbyt często w tym czarnym roku ciemność przed oczyma, zbyt często osacza nas niepewność naszego wspólnego losu. I wtedy trudno jest żyć samą dumą. Trudno, gdy wyzwala się Paryż nie myśleć o krzywdzie Warszawy, ścieranej z powierzchni ziemi. Trudno nie myśleć, że wolność niesiona Belgii i Holandii równym prawem należy się całej Polsce, takiej, jaką zostawiliśmy pięć lat temu, tej, nie innej, która żyje w naszej tęsknocie, którą sami chcemy urządzać i poprawiać. Trudno o tym nie myśleć, trudno zaprzeczyć, że żaden żołnierz w tej wojnie nie walczy w równie ciężkich warunkach moralnych.

Ale niech nas w takich chwilach nie zwodzi pokusa beznadziejności. Cokolwiek by nam groziło, jak bardzo wydłużałaby się jeszcze droga do ojczyzny, nie sposób zapomnieć o prostej prawdzie, że żołnierz żywi krwią, potem, śmierdzącym, zabłoconym trudem swoim nie tylko obraz utęsknionej ojczyzny, ale rzeczywisty, dotykalny jej kształt: państwo. Obszar państwa jest w mocy wroga, jego mieszkańcami — naszymi matkami i ojcami, siostrami i braćmi, żonami i dziećmi — rządzi siła najeźdźcy, albo najemni agenci. Ale państwo istnieje, bo ma rząd według prawa i siły zbrojne, posłuszne rządowi i prawu. To one — siły zbrojne — bez przerwy zaświadczają przed światem istnienie państwa, którego znaki noszą. To one krwią, potem, śmierdzącym, zabłoconym trudem swoim żądają dla niego pełnego życia — na własnej ziemi, wśród swoich obywateli i według swoich praw, które nikt inny, tylko obywatele swobodnie mogą stanowić i zmieniać.

Rozumieliśmy to jasno pięć lat temu. Dziś narzuca się to jeszcze z większą siłą, jako bezsporny cel walki, trudu i krwawej ofiary. Gorzko jest pomyśleć, że w ciągu tego czasu nic nam nie ubyło z ciężaru tego obowiązku.

Ale przybyło nam siły, aby mu sprostać. Znowu po latach rozłąki jesteśmy zespoleni z tą częścią ojczyzny, którą na ziemi gościnnej tworzy wychodźstwo polskie we Francji. Znowu jak przed pięciu laty opieramy się o żywą, własną społeczność. Znowu nasze szeregi zasilają ochotnicy z tego wychodźstwa, pierwsze ich transporty przybiły już do Wielkiej Brytanii.

Niech synowie Polonii Francuskiej znajdą na tych stronach słowa najgorętszego powitania, słowa radości, z jakimi ich przyjmujemy. Nikt z nas, którzy byli w Coëtquidan, nie zapomniał, nie mógł zapomnieć tej Polonii, jej patriotyzmu, jej ofiarności i jej żołnierzy. Teraz wszyscy pamiętamy jeszcze chlubny jej udział w walce podziemnej i w wyzwoleniu Francji.

Polski stan posiadania na tych wyspach zwiększa się jeszcze przez dopływ z innej strony. Rośnie z dnia na dzień ilość Polaków przymusowo wcielonych do armii niemieckiej i wziętych do niewoli na froncie zachodnim. Przechodzą oni pod opiekę legalnego rządu, odzyskują tu pełne prawa obywatelskie, które wróg gwałtem naruszył. Ich także witamy serdecznym, braterskim słowem.

Można powiedzieć, że ochotnicy z Francji to odrobienie polskich strat, poniesionych przez klęskę 1940 roku, że byli jeńcy z armii niemieckiej — to początek odrabiania klęski roku 1939. W miarę posuwania się w głąb Niemiec coraz więcej Polaków będzie z nami. Zaczną wracać pod opiekę rządu przymusowo wywiezieni na roboty, da Bóg, wrócą internowani i jeńcy wojenni. Choć nad naszą przyszłością wisi ciągle ciężki, dławiący mrok — siła polska rośnie. I będzie róść.

U końca pięciolecia stoimy silniejsi poczuciem słuszności i poczuciem godności żołnierskiej. Silniejsi, bo zahartowani okrutnymi próbami. Silniejsi, bo znowu bezpośrednio złączeni z wychodźstwem polskim i z cząstką żywej masy polskiej. Niezłamani, bo wiedzący, o co się bijemy, zdecydowani, że nie przestaniemy się bić, ani my, ani ci, którzy po nas przyjdą.

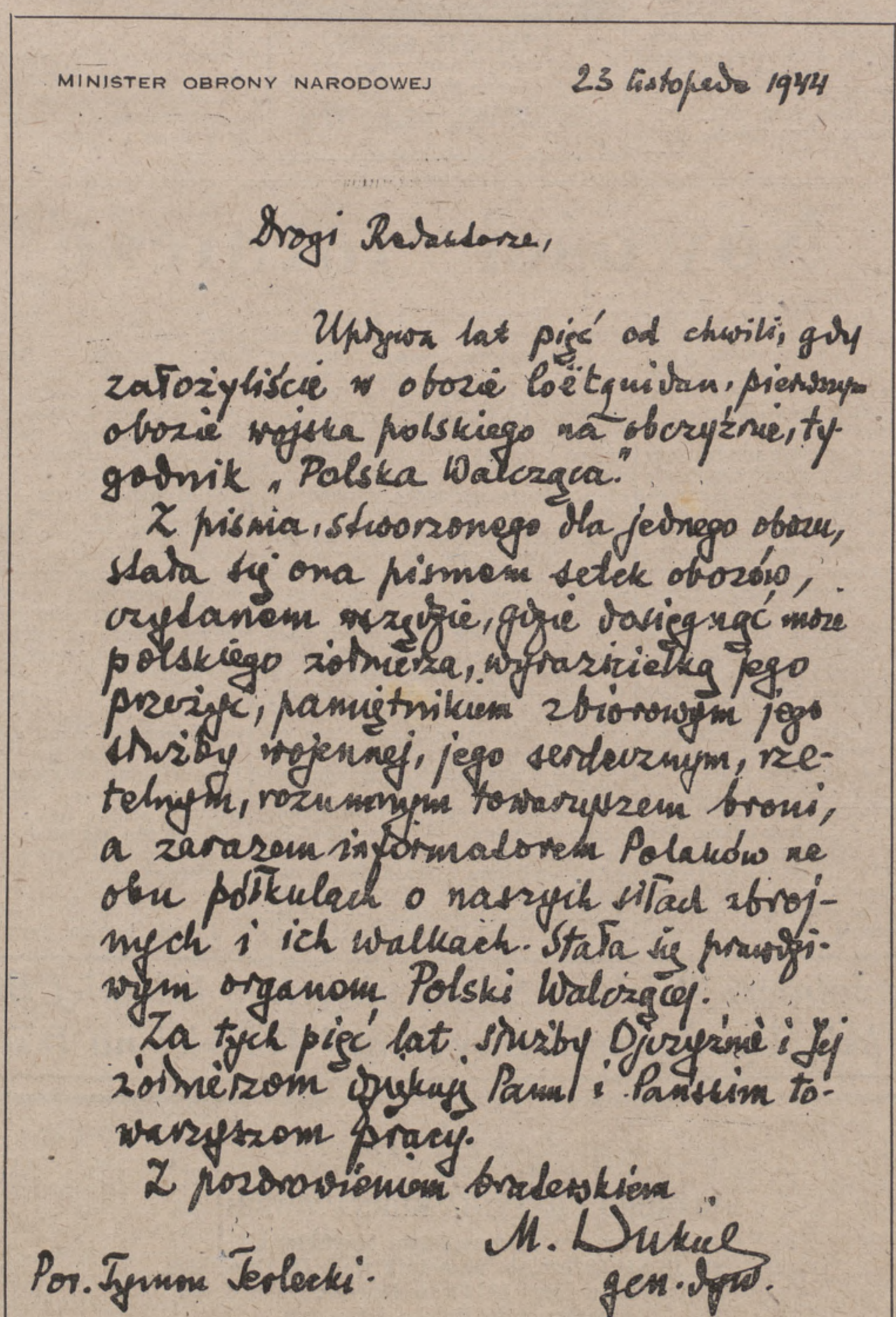
Przed pięciu laty zostało to zawarte w dwu słowach nazwania tego pisma. Nazwanie przyjęte wtedy nie utraciło siły, wymowy i znaczenia. Ciągle obejmuje żywych i umarłych, Kraj i nas, tych, którzy do nas przychodzą i będą przychodzić.

Na nowe dni, tygodnie, miesiące, lata, jak Bóg zechce — trzeba nam podać hasło to samo, drogie nad każde inne, obejmujące wszystko i wszystkich:

Polska Walcząca — walcząca o wolność i prawo do życia dla siebie, o wolność i prawo życia dla innych, o lepszy świat.

TYMON TERLECKI

Odręczne pismo Ministra Obrony Narodowej



MINISTER OBRONY NARODOWEJ

23 listopada 1944

Drogi Redaktorze,

Upływa lat pięć od chwili, gdy założyliście w obozie Coëtquidan, pierwszym obozie wojska polskiego na obczyźnie, tygodnik „Polska Walcząca".

Z pisma, stworzonego dla jednego obozu, stała się ona pismem setek obozów, czytanym wszędzie, gdzie dosięgnąć może polskiego żołnierza, wyrazicielką jego przeżyć, pamiętnikiem zbiorowym jego służby wojennej, jego serdecznym, rzetelnym, rozumnym towarzyszem broni, a zarazem informatorem Polaków na obu półkulach o naszych siłach zbrojnych i ich walkach. Stała się prawdziwym organem Polski Walczącej.

Za tych pięć lat służby Ojczyźnie i Jej żołnierzom dziękuję Panu i Pańskim towarzyszom pracy.

Z pozdrowieniem braterskiem

M. Kukiel
gen. dyw.

Por. Tymon Terlecki

Przegląd tygodniowy

POSTĘPY OFENSYWY ZIMOWEJ

Postępy ofensywy zimowej prowadzonej przez sześć armii sojuszniczych na froncie zachodnim od Holandii po granicę szwajcarską nie są jednakowo szybkie na wszystkich odcinkach. Obraz jest inny na odcinku północnym, gdzie trzy armie sojusznicze — 2-a brytyjska, oraz 9-a i 1-a amerykańska — atakują na wąskim, zaledwie 40 mil liczącym odcinku Akwizgranu i dalej na południe, gdzie również trzy armie, ale z pewnością o znacznie mniejszych efektywach, posuwają się naprzód na szerokim, prawie 300 milowym froncie.

Niewątpliwie najbardziej efektowne były postępy Francuzów, zarówno 1-ej armii francuskiej gen. Dellatre de Tassigny, jak i dywizji pancernej gen. Leclerc wchodzącej w skład amerykańskiej 1-ej armii. W szybkim tempie Francuzi uwalniają Alzację i w Paryżu z dumą radosną biją dzwony z powodu tego świetnego zwycięstwa oręża francuskiego.

Niewiadomo jeszcze, jakie siły niemieckie zostaną zniszczone w Alzacji jeśli ramiona kleszczy francuskich zewrą się wokół nich. Wydaje się jednak, że większość sił niemieckich zdołała się na czas wycofać poza Ren. Niemcy nie ryzykowali tu zbyt wiele, ani nie usiłowali bronić Alzacji do upadłego. Dojście sojuszników do Renu na tym całym odcinku nie wydaje się im zbyt groźne, gdyż nie sądzą, by mogła tu nastąpić wielka próba wdarcia się w głąb Rzeszy. Nawet po sforsowaniu Renu trudności nie skończyłyby się, lecz może dopiero zaczęły; Sojuszników czekałyby zapory linii Zygfryda oraz naturalne przeszkody gór Schwarzwaldu. A że baza operacyjna byłaby bardzo odległa od portów, ofensywa byłaby tu szczególnie trudna.

Dlatego większe bodaj znaczenie ma powolne, ale systematyczne zużywanie sił niemieckich w zaciętych walkach, jakie toczą się na froncie akwizgrańskim. Tu po obu stronach wysiłek wydaje się największy, koncentracja sił po stronie sojuszniczej jest bodaj rekordowa, a Niemcy również wprowadzili do akcji najlepsze jednostki, jakie jeszcze posiadają. Komentatorzy brytyjscy porównują tę bitwę z bitwą pod Caen i niewątpliwie podobieństwa są bardzo duże. W obu wypadkach Niemcy uważali bitwę za decydującą i w obu walczyli o każdą piędź ziemi. Tak jak wówczas groziło im "przyszpilenie" do Sekwany, tak teraz walczą mając za plecami Ren, co grozi katastrofą w razie zbyt późnego odwrotu. Rola manewru oskrzydlającego, dokonanego wówczas przez Amerykanów może teraz przypaść w udziale siłom brytyjsko-kanadyjsko-polskim w Holandii.

Ale istnieje między obu bitwami jedna wielka różnica. Wówczas było pełne lato, teraz jest zima. Zmniejsza to poważnie możliwości wsparcia lotniczego i w ogóle może utrudnić bardzo wydatnie całość działań sojuszniczych.

STRATEGIA NIEMIECKA

Wielkie znaczenie dla przebiegu wojny w tej ostatniej fazie będzie miała decyzja Niemiec, które znalazły się wobec następującego wyboru: albo bronić się na zachód od Renu do ostatka, ryzykując, że zniszczenie armii niemieckiej po tej stronie rzeki przypieczętuje ostateczną klęskę; albo wycofać się na drugi brzeg i w ten sposób niewątpliwie zyskać na czasie, gdyż sforsowanie Renu będzie ciężką operacją, ale utracić węgiel Saary i dopuścić, by węgiel i rudy zagłębia Ruhry znalazły się pod ogniem artylerii sojuszniczej, a także utracić umocnienia budowane od lat.

Gen. Eisenhower wyraził pogląd, że armia niemiecka zdecydowana jest przyjąć rozstrzygającą bitwę na zachód od Renu. Wiele wskazuje, że tak jest istotnie. Z drugiej strony ostatnio strategia niemiecka stała się wyraźnie ostrożniejsza. Jakikolwiek jest los Hitlera, pewne jest, że stracił on wpływ na działania wojskowe. Von Rundstedt i jego podwładni nie są już skrępowani rozkazami walki do ostatka na beznadziejnych pozycjach i wojska niemieckie cofają się na czas.

Ale jak daleko Niemcy mogą się jeszcze cofać? Na Zachodzie nie mają już możności "sprzedawania" terenu w zamian za czas. Mają ją jeszcze we Włoszech, gdzie robią z niej pełny użytek. Na Wschodzie, gdzie początek zimowej ofensywy rosyjskiej wydaje się sprawą najbliższej przyszłości, możliwości tego rodzaju są już niewielkie.

SKUTKI UPUSTU KRWI NIEMIECKIEJ

Ostrożna strategia i zima mogą opóźnić jeszcze na parę miesięcy ostateczną klęskę Niemiec, choć bynajmniej nie można wykluczyć przyśpieszenia katastrofy na skutek klęski na zachód od Renu, a także szybko dojrzewającego kryzysu w zakresie surowców, a zwłaszcza paliwa, do czego przyczynia się zakrojona na gigantyczną skalę ofensywa lotnicza przeciw fabrykom benzyny syntetycznej. W każdym razie zima zapowiada się dla narodu niemieckiego jako najtragiczniejsza może w jego historii: Głód, brak transportu, brak opału, straszliwe bombardowania i ogromne straty na frontach, a wszystko bez jakiejkolwiek nadziei zwycięstwa.

Szwajcarskie pismo "*Die Nation*" podało niedawno sensacyjną statystykę strat niemieckich w tej wojnie. Oblicza ono straty w zabitych na froncie i od bombardowań na 8.500.000 ludzi. 6.300.000 żołnierzy i cywilów odniosło rany, liczba bezdomnych wynosić ma 18 milionów, a liczba chorych wskutek złego odżywiania i bombardowań — 21 milionów. Przy takich stratach los narodu niemieckiego byłby bodaj przesądzony: jest to upływ krwi i wyczerpanie sił, z którego zapewne nie ma uzdrowienia. Tak jak po wojnie trzydziestoletniej naród niemiecki był wykończony na półtora wieku, tak i teraz sprawa niemiecka może być rozwiązana w sposób radykalny właśnie na skutek zniszczenia Niemiec i osłabienia narodu.

Na tym tle tym bardziej zagadkowa staje się gotowość Niemców do dalszej walki, która poza powiększeniem zniszczeń i strat absolutnie nic im dać nie może. Nikt nie znajduje zadawalniającej odpowiedzi na pytanie, dlaczego Niemcy walczą nadal, choć nikt z nich prawie nie ma już żadnych złudzeń co do ostatecznego wyniku.

Wyjaśnienia tej zagadki zapewne szukać należy w fakcie, że Niemcy nie mają już nic do stracenia /ostatnie hasła Goebbelsa: "Zwycięstwo albo Syberia" i "Używaj życia, póki trwa wojna, pokój będzie straszliwy" niewątpliwie zrobiły wrażenie na masach niemieckich/. Z drugiej strony Niemcy liczą wciąż jeszcze na rozdźwięki pomiędzy Sojusznikami.

TRUDNOŚCI POLITYCZNE

Gdyby można było wykazać, że t.zw. zjednoczone narody są naprawdę zjednoczone, że nie jest to koalicja zespolona jedynie chęcią pobicia wspólnego wroga, ale także zespół ożywiony tymi samymi ideałami i dążący do tych samych celów, to niewątpliwie te nadzieje niemieckie otrzymałyby ostateczny cios.

Na najbliższą przyszłość zapowiadane było spotkanie Roosevelt-Churchill-Stalin. Po powrocie z Moskwy premier Churchill oświadczył, że uważa takie spotkanie za konieczne i to jak najprędzej. Jednakże obecnie okazuje się, że nie może ono nastąpić wcześniej, niż w końcu stycznia, a i ten termin nie jest jeszcze pewny. Można przypuszczać, że obawa nieudania się konferencji "wielkiej trójki" przyczyniła się do jej opóźnienia; być może dalsze rozmowy na drodze dyplomatycznej w nadchodzących tygodniach na temat spraw, które pozostają nieuzgodnione, pozwolą na lepsze jej przygotowanie. Jest rzeczą znamienną, że nawet miejsce spotkania "wielkiej trójki" nie jest łatwe do ustalenia, gdyż Stalin nie jest skłonny opuścić Sowiety i odwiedzić W. Brytanię czy Stany Zjednoczone, a znów anglosascy mężowie stanu, którzy już parokrotnie, zwłaszcza Churchill, pielgrzymowali do Moskwy, chcieliby mieć sposobność do okazania z kolei swojej gościnności. Premier Churchill kończy w tym tygodniu 70 lat i opinia publiczna uważa, że dość się już napodróżował dla wspólnej sprawy.

Jednym z zagadnień, które pozostają nieuzgodnione, jest cały zespół spraw bezpieczeństwa powojennego. Ożywione dyskusje prasowe na temat pomysłu jakiejś regionalnej kombinacji zachodnio-europejskiej wykazały, że opozycja przeciw idei bloku zachodniego jest bardzo silna, choć powodowana różnymi względami. Z jednej strony opinia francuska oraz duża część opinii brytyjskiej i amerykańskiej krytykuje ją, jako prowadzącą do podziału Europy na dwa bloki, co pod każdym względem było by wysoce niebezpieczne. Z drugiej Rosja nieufnie się do niej odnosi, obawiając się, że taki blok mógłby się stać zalążkiem wrogiej wobec niej kombinacji mocarstw.

Innego przykładu rozbieżności poglądów na sprawy powojenne dostarcza konferencja w Chicago poświęcona zagadnieniu lotnictwa cywilnego. Wykazała ona jak dalece różnią się plany brytyjskie i amerykańskie. Nieobecność Rosji zaś podkreśliła skłonność jej do trzymania się na uboczu.

WSZĘDZIE KRYZYSY

Sytuacja w różnych krajach oswobodzonych lub okupowanych przez Sojuszników również nie świadczy, by polityka dotrzymywała kroku ich świetnej strategii wojskowej. W Belgii sytuacja jest napięta i doszło już do przelewu krwi, gdy demonstranci z ruchu oporu i partii komunistycznej starli się z policją. W Grecji kryzys wydaje się niemal nieprzerwany. Rząd włoski podał się do dymisji wskutek rozdźwięków pomiędzy lewicą i prawicą.

Na Środkowym Wschodzie, sytuacja w Persji pozostaje niewyjaśniona. Nowy rząd nie wydaje się bardziej skłonny, niż poprzedni do udzielenia Rosji koncesji naftowej. Z jednej strony jest atakowany przez Moskwę niemal równie silnie, z drugiej strony ma to samo poparcie państw anglosaskich.

I tak, podczas gdy wysiłki żołnierzy sojuszniczych poważnie zbliżają chwilę ostatecznego zwycięstwa, to jednocześnie droga do zorganizowania trwałego i sprawiedliwego pokoju oraz ustabilizowania świata wydaje się coraz bardziej daleka.

ZASTĘPCA

Z tygodnia na tydzień

20 listopada: Wojska francuskie zdobyły Belfort i dotarły do Renu.

—W Metzu ustał zorganizowany opór niemiecki.

—Wojska sowieckie wznowiły natarcia w rejonie Libawy.

—Wojska II Korpusu odparły natarcia niemieckie na m. Converselle. Niemcy odbili Monte Fortino.

—Ogłoszone zostały szczegóły walk Armii Krajowej przeciwko Niemcom pod koniec października b.r. na obszarze radomsko-piotrowskim.

21 listopada: Wojska francuskie zajęły Miluzę.

—Wojska amerykańskie zdobyły Saarebourg.

—Lotnictwo Sprzymierzonych, w sile około 3000 samolotów, bombardowało ośrodki przemysłowe w zachodnich i środkowych Niemczech.

—Rząd brytyjski uległ rekonstrukcji.

—Ogłoszono szczegóły przemówienia Ojca św. do kolonii polskiej, zebranej na audiencji w Watykanie. Pius XII powiedział: "Oczy świata zatrzymały się ze szczególną uwagą na Warszawie, na tym rycerskim mieście o imieniu jakże bogatym w szlachetne wspomnienia historii i jakże tragicznym przez niespotykane cierpienia".

22 listopada: Amerykanie zajęli Eschweiler w Niemczech, na płn.-wsch. od Akwizgranu.

—Oddziały II Korpusu i oddziały brytyjskie przełamały niemieckie linie obronne na płd. od Faenzy. Polacy zdobyli Monte Piano i ponownie Monte Fortino.

23 listopada: Wojska francuskie dotarły do Strasbourga.

24 listopada: Prezydent R.P. przyjął rezygnację premiera Mikołajczyka. Misję tworzenia nowego rządu Pan Prezydent powierzył p. Kwapińskiemu.

—II. Korpus polski zdobył Monte Ricci, wzgórze panujące nad rzeką Marzeno.

—Wojska amerykańskie przekroczyły rzekę Saarę.

—Wojska sowieckie zajęły wyspę Oesel na Morzu Bałtyckim.

—W Moskwie ogłoszono, że cała Estonia uwolniona została od Niemców.

—Lotnictwo amerykańskie bombardowało Tokio, poraz pierwszy z baz lądowych na wyspach Mariany.

25 listopada: W Brukseli wybuchły zamieszki uliczne, wywołane przez komunistów.

—Generał Montgomery udekorowany został "Virtuti Militari" w jednej z miejscowości przyfrontowych. Równocześnie 14 żołnierzy otrzymało odznaczenia brytyjskie, m.in. dowódca Dywizji gen. Maczek — D.S.O.

26 listopada: Amerykanie zdobyli m. Wiesweiler, leżącą na autostradzie do Kolonii.

—Generał Alexander mianowany został marszałkiem polnym i naczelnym dowódcą wojsk Sprzymierzonych na froncie śródziemnomorskim. Generał M. Clark mianowany został dowódcą wojsk Sprzymierzonych we Włoszech.

—Oddziały II Korpusu zajęły Monte Dolone i Pietramora na płd. od Faenza.

Nowości lotnicze

Ostatnie wydarzenia lotnicze wskazują na to, że zaczynają jednak zachodzić pewne zmiany w ogólnym układzie sił w powietrzu. Mimo dużych strat, *Luftwaffe* zaczyna znowu być czynna. Ilość zaangażowanych samolotów, szczególnie myśliwskich, rośnie z dnia na dzień; opór, który *Luftwaffe* stawia nad Niemcami amerykańskim i angielskim armadom powietrznym zaczyna przybierać na sile. Jeszcze w tej chwili *Luftwaffe* broni przemysłu dosyć nierównomiernie: lecz bywa nieraz, że w obronie pojawia się do czterystu maszyn. Poza tym system nadzoru powietrza ze strony niemieckiej polepszył się i udoskonalił.

Jak już pisaliśmy o tym swego czasu, system ten uległ całkowitemu rozbiciu po zajęciu przez Aliantów Francji i Belgii. Przez dłuższy czas eskadry alianckie atakujące cele bliskie granicy, działały bezkarnie, gdyż nim nadleciało zaalarmowane lotnictwo niemieckie, cel był zbombardowany, a eskadry w drodze powrotnej do domu. W ostatnich czasach *Luftwaffe* zaczęła jednak nadlatywać na czas. Nie chroniło jej to wcale od wielkich strat, które ponosiła od eskorty myśliwskiej i od bombowców dziennych, szczególnie amerykańskich, uzbrojonych mocno i mogących bronić się bardzo skutecznie.

Także samoloty propulzyjne, szczególnie "Me. 262" pojawiają się w znacznie większych niż dotychczas ilościach. Wszystko więc wskazuje na to, co zresztą przewidywaliśmy, że produkcja niemiecka zaczęła znów rosnąć w chwili, kiedy zeszła pod ziemię. Nie należy z uśmiechem niedowierzania przyjmować zapewnień niemieckich, że na wiosnę *Luftwaffe* przejdzie z defensywy do ofensywy. Niewątpliwie, produkcja niemiecka nie przegoni połączonej produkcji amerykańsko-brytyjskiej, lecz w każdym razie może polepszyć jakość swej pierwszej linii, poza tym może nadać obronie w powietrzu charakter jednolity i długotrwały.

Luftwaffe nie może liczyć z całą pewnością na swój najbardziej nowoczesny sprzęt, a więc samoloty propulzyjne, z których dwa typy weszły do linii, a są dosłownie oznaki na niebie i ziemi, że niebawem wejdzie i trzeci. Ten rodzaj sprzętu nie jest monopolem tylko *Luftwaffe*. Nie zostały jeszcze ujawnione typy alianckie o silnikach termiczno-strumieniowych, ani typy amerykańskie, które już dawno są masowo produkowane. Po stronie alianckiej pojawią się one nagle i niespodziewanie. Na pewno też pojawią się od razu w masie. Wtedy dopiero nastąpi wielka próba sił. Poza tym nowe typy broni dalekosiężnych, jak n.p. latające bomby, są też już produkowane przez Aliantów.

Przypatrzmy się z kolei próbie sił na innym odcinku: amerykańsko-brytyjskim, na polu bitwy w Chicago. Międzynarodowa konferencja lotnicza weszła od razu na bardzo śliskie tory. Preludia, w postaci rozmów najwyższych mężów stanu, były jak najbardziej sielankowe. Między Churchillem a Rooseveltem doszło do porozumienia i wydawało się, że wszystko już jest załatwione. Podzielono lądy i morza na sfery wpływów, omówiono ogólne wytyczne wspólnego frontu wobec większych i mniejszych, nawet ustalono wspólnie formułę "wolności powietrza". Tymczasem na przeszkodzie stanęły rozmaite brytyjskie kompanie transportowe, bardziej zjednoczone, i amerykańskie planujące dość samodzielnie. Zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i w Ameryce, zlekceważono rządowe dyktaty; toteż na terenie amerykańskim i międzydominialnym wybuchła mała rewolucja. Choć skończyła się ona zgodą w Londynie, jednak na innej płaszczyźnie, w Chicago, trwa w permanencji. W tej chwili szuka się jakiegoś wyjścia z sytuacji w postaci formuł przejściowych, możliwych do przyjęcia dla obu stron.

W poprzednich przeglądach podaliśmy mniej więcej w jaki sposób i gdzie chcą latać Amerykanie. W tym naszkicujemy plany brytyjskie. W wewnętrznym projekcie brytyjskim eksploatacja powietrza podzielona jest na: linie brytyjskie, kanadyjskie, australijskie i południowo-afrykańskie.

Do czysto brytyjskich należałaby linia: Londyn — Ameryka Południowa, oraz Londyn — Afryka Południowa /wschodnim wybrzeżem Afryki/. Do brytyjsko-australijskich: Londyn — Sidney, z odcinkiem brytyjskim: Indie — Japonia. Do czysto australijskich: Australia — Nowa Zelandia, oraz Australia — Pacyfik — San Francisco. Do południowo afrykańskich: Natal — Indie, oraz Natal — Buenos Aires — Meksyko, wreszcie Natal — Londyn /zachodnim brzegiem Afryki/. Do kanadyjskich: Kanada — Alaska — Kamczatka — Tokio, dalej Kanada — Wielka Brytania /północą Atlantyku/ — oraz Moskwa. Mamy tu podwójny pas naokoło ziemi: na północy i na południu od równika, przerwany na północy przestrzenią lądową: Moskwa — Tokio. Najważniejsze trasy na północy Oceanu Spokojnego nie mogą być eksploatowane bez zgody Moskwy, na południu: bez zgody Holandii, częściowo Francji i Portugalii. Trasy omijają, wbrew wyraźnemu interesowi Wielkiej Brytanii na szlakach Wielka Brytania — Indie i Południowa Afryka Europę centralno-wschodnią. Jest to wyraźny ukłon w stronę Rosji. Całość planu jest robiona bez zgody: Rosji, Ameryki, Francji i innych państw zainteresowanych.

Długa, bardzo powoli budowana linia zaopatrzenia zachodniego frontu w materiał wojenny, została już ukończona. Trwało to przeszło dwa miesiące. Biorąc jednak pod uwagę odległość Cherbourga od linii frontu, zniszczenia linii i węzłów kolejowych przez lotnictwo alianckie, oraz zniszczenie dróg, i mostów — nie jest to czas zbyt długi. Z początku dostarczony materiał — był natychmiast konsumowany przez front. Otwarcie portu w Antwerpii zmieniło całkowicie obraz. Skoro rozpocznie się wielki ruch ofensywny w głąb Niemiec, port ten stanie się doskonałą bazą dopływu materiału do jednostek.

To jednak, że Alianci w czasie swych walk w Belgii i Holandii nie natrafili na trudności zaopatrzeniowe zawdzięczają całkowicie lotnictwu. Kiedy jeszcze linie kolejowe Normandia — Holandia, były w budowie, nie można było polegać całkowicie na motorowych kolumnach transportowych. Były one stosunkowo powolne, zresztą wiele mostów uszkodzonych i naprawianych na prędce nie zawsze pozwalało na używanie sprzętu najcięższego, a więc samochodów o najbardziej ekonomicznym tonażu. Toteż przez pierwszy okres kampanii holenderskiej n.p. zaopatrzenie w paliwo szło wyłącznie powietrzem. Dość wspomnieć, że Dakoty przewoziły samej tylko benzyny na lotniska Vere pod Brukselą 1000 /tysiąc/ ton dziennie. W tym czasie ruch na tym lotnisku był tak wielki, że osiągał nasilenie lądowań czterdziestu maszyn transportowych na godzinę.

Rzecz jasna, tego rodzaju gromadzenie maszyn na jednym lotnisku, przy takim ruchu na ziemi było możliwe tylko przy zupełnym panowaniu w powietrzu i przy pewności, że żadna maszyna nieprzyjacielska nie dostanie się nad zaopatrzeniowe bazy lotnicze.

Mamy tu wyraźny dowód tego, że bez lotnictwa na skalę taką, w jakiej je teraz mają, Alianci nie byli by w stanie rozpocząć akcji na Holandię, przed r. 1945.

M. J. GORDON

Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę—dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

Ś. ✝ P.

OLGIERD z BYTYNIA KURNATOWSKI

jedyny syn Andrzejostwa Kurnatowskich
ur. 19.XII.1920 r., b. uczestnik walk II. Dyw. Strz.
poległ w lipcu 1944 r. w Bourg d'Osian-Isère
walcząc za Polskę i Francję

Skrzydła nad płonącą Warszawą

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

We Włoszech, w listopadzie 1944.

Nie wszyscy obrońcy Warszawy poszli za druty niemieckich obozów jenieckich. Są we Włoszech żołnierze polscy, którzy walczyli w bitwie o Warszawę do ostatka i którzy broni nie złożyli. Wobec których Niemcy byli bezsilni. Noszą niebieskie mundury lotnicze. Należą do dywizjonu, który od przeszło trzech lat, jak mówią, "pracuje na Kraj". Nie wolno było o nich pisać, otoczeni byli ścisłą tajemnicą, wszystko co ich tyczyło, było poufne, tajne, łamane przez *"most secret"*. Dopiero podczas bitwy o Warszawę, działalność ich została ujawniona przez komunikat brytyjskiego Lotnictwa Królewskiego — *"Balkan Airforce"*.

Przed przybyciem do Włoch latali do Polski z Tunisu i tam ich pierwszy raz spotkałem. Przed zdobyciem Tunisu startowali do Kraju z dalekich baz W. Brytanii. Działalność ich wówczas nie ograniczała się tylko do Polski. Dostarczali również broń i amunicję francuskiej armii podziemnej a z Włoch przez długi czas, kiedy wiosenne burze nad Bałkanami uniemożliwiały loty do Kraju, latali z zasobnikami dla wojsk Tito. Nie uchylali się od tego obowiązku, nie kalkulowali, nie zastanawiali się, czy z baz ukraińskich, besarabskich nie będzie może lepiej.

W dywizjonie tym latali najlepsi z najlepszych, najbardziej doświadczeni, najbardziej opanowani . . . Elita polskiego lotnictwa. Powietrzny ich szlak był zawsze niebezpieczny i zdradliwy. Wielu z nich zginęło na tej najkrótszej drodze do Polski.

Kiedy w Warszawie wybuchło powstanie, na skrzydła dywizjonu spadł ciężki obowiązek zaopatrywania obrońców stolicy w broń i amunicję. Spełniali ten obowiązek całym sercem, szafując siłami i krwią. A lecieli noc w noc, w pogodę i niepogodę, w burze i wiatry, bez względu na to, co mówi komunikat meteorologiczny. Wiedzieli, że to co rzucają jest tylko kroplą w morzu, że pomoc ich nie jest i nie może być efektowna, ale rozumieli również, że w takiej chwili nie może zabraknąć polskich skrzydeł nad płonącą Warszawą. Rozumieli wartość tego gestu, podejmowali się każdego zadania.

Jeden z najlepszych polskich pilotów kapitan S. na ochotnika poleciał ze swoją załogą — nad Stare Miasto, by tam zrzucić zasobniki broniącym się resztkami amunicji powstańcom. Zadanie wypełnił, ale kilkaset metrów dalej runął zestrzelony w zgliszcza ulicy Miodowej . . .

Byłem w dywizjonie podczas największego napięcia Bitwy o Warszawę. Kiedy przetrzebione szeregi dywizjonu uzupełnione zostały nowymi lotnikami z W. Brytanii, kiedy starzy piloci, którym skończyły się godziny lotów pieczołowicie kaligrafowali po angielsku podania z prośbą, by wolno im było teraz rozpocząć nową kolejkę. Byłem przy pierwszym starcie do Polski nowej załogi, świeżo przybyłej z Anglii. Zaobserwowałem wówczas drobny szczegół, który nawet źle opowiedziany mówi głębiej, plastyczniej i serdeczniej to, czego nie wyrazi choćby dziesięć wytartych przymiotników, że jest "ryzykownie", "niebezpiecznie" i t.d.

Warczały już zapuszczone motory, gdy jeden z młodych lotników, 18-letni chłopak, dziecko jeszcze, podszedł do mechanika załogi naziemnej i poprosił go o nóż do konserw, który tu nazywamy "Churchillem". — "Jutro go panu oddam" — rzucił machinalnie, a kiedy skończył spostrzegł się, co powiedział i uśmiechnął się nerwowo. Mechanik był doskonałym psychologiem, udał, że nie zauważył uśmiechu i podał chłopcu termos mówiąc. — "Niech pan weźmie, to mój. Przyda się herbata podczas lotu. Jutro rano znajdzie mnie pan w kantynie i odda mi pan razem z nożem".

W tej samej załodze jako strzelec poleciał 45-letni sierżant, który został przyjęty do lotnictwa po długich i upartych staraniach i który jako przyczynę swego uporu podał, że wyjeżdżając we wrześniu z Polski przysiągł żonie, że jak najszybciej podejmie znowu walkę z Niemcami. Najszybszą sposobnością było lotnictwo.

Każdego wieczoru spotykałem się z lotnikami w kasynie oficerskim przy szklance "Bianeczka, Bianeczka", tak bowiem nazwali białe, młode, cierpkie wino. Były tam załogi, które wróciły rano albo takie, które następnego dnia miały startować. Każdego wieczoru o tej samej godzinie jedenastej jeden z lotników patrząc na zegarek mruczał: — "Teraz są nad Tatrami", a po północy: — "Teraz są już nad Warszawą". I w kasynie robiło się wtedy bardzo cicho.

Po kilku dniach rozróżniałem już twarze lotników, znałem ich troski i marzenia, wiedziałem, od której strony najlepiej podejść nad Warszawę, samolot był już dla mnie załogą, pilotem, drugim pilotem, strzelcem, nawigatorem, których nazwiska, przydomki, dobre i słabe strony znałem, a na każdej maszynie miałem znajomego z nożem "Churchill" i termosem.

Po godzinie dwunastej, po sakramentalnych słowach: — "Są teraz nad Warszawą" coś wyraźnie ściskało mnie w okolicy serca, a dwadzieścia minut później, po stwierdzeniu: — "A teraz już wracają do domu" — oddychałem z ulgą razem z innymi.

Samoloty powracały postrzelone, pokiereszowane. Wracały cudem. A czasami wcale nie wracały . . .

Poznałem dywizjon, zżyłem się z nim. Poznałem duże i małe kłopoty jego dowódcy: ile maszyn będzie mógł puścić tej nocy nad Warszawę, że ci nowi z Anglii przyjeżdżają do Włoch bez niczego, bez łóżek polowych, trzeba ich kłaść na ziemi, na kocach, że są w grubych *battledressach*, kiedy tu upał, że chcą w małej, zniszczonej mieścinie znaleźć angielskie luksusy. Dowiadywałem się coraz więcej szczegółów z historii dywizjonu, o lądowaniach w Polsce, o tym jak zabierano z Polski Arciszewskiego, generałów Armii Krajowej, przedstawicieli ruchu podziemnego. O tym jak kapitan Bolek przywiózł z Polski, w pokrowcu od hełmu tropikalnego, ziemię, którą koledzy mu natychmiast rozdrapali.

Pewnego dnia na dowódcę dywizjonu spadła jak grom z jasnego nieba nagle depesza z Rzymu: "Proszę natychmiast przysłać do Rzymu załogę. Ma mówić do radia londyńskiego o locie do Warszawy".

Dowódca wysłał kapitana Bolka, jako że najbardziej wygadany, że mówi po angielsku, że ma więcej lotów do Polski. Bolcio zebrał chłopców takich co latali i takich, którym należał się krótki odpoczynek i raz dwa szurgnął "Liberatorem" do Wiecznego Miasta.

W tym miejscu nie wiem, jak to było dokładnie. Kapitanowi zapomniano powiedzieć o zakazie lądowania na lotnisku rzymskim czteromotorowym "Liberatorem". Było za krótkie. Kapitan jednak wylądował. Był bardzo przyjemnie zdziwiony, kiedy zobaczył, że do samolotu jedzie łazikiem kilku wyższych oficerów lotnictwa brytyjskiego. Jeden nawet z nich "z ogródkiem na lakierowanym daszku". Pomyślał sobie, że komitet przyjęcia i że "Polonusów" fetują z racji tego *"speechu"* do radia.

Tymczasem kapitana wzywają do komendanta lotniska. Pada pytanie: — "Jakim prawem lądował "Liberatorem" tutaj", potem raport, groźba aresztowania. *"Serious offence"*. Następuje telefon do dowódcy dywizjonu, by natychmiast przyleciał do Rzymu.

Następnego dnia komendant lotniska oświadczył dowódcy dywizjonu, że o ile on weźmie to na swoją odpowiedzialność, to pozwoli "Liberatorem" wystartować . . . Nie radzi jednak tego, bo oto tam podpiera hangar drugi "Liberator", który też tu przed kilkoma miesiącami lądował. Jeszcze stoi, można go zobaczyć.

Dowódca znał swego Bolka i powiedział, że bierze odpowiedzialność za start. Bolek obejrzał tego drugiego "Liberatora", który — jak mówił — "już puszczał korzenie", zmierzył lotnisko, kazał wypuścić nadmiar benzyny i wyrzucić amunicję i powiedział, że jutro wystartuje.

Następnego dnia na lotnisku, mimo wczesnej pory zebrała się kupka widzów. Był komendant lotniska i był wyższy oficer "z ogródkiem na daszku". Na wszelki wypadek sanitarka i samochód straży pożarnej stały w pogotowiu.

Kapitan zapuścił motory, zatańczył, zakołował, ruszył na pełnych hamulcach i po chwili leciutko, elegancko oderwał się prawie w połowie lotniska — i tyle go widzieli.

—*"Good show"* — mruknął stojący obok mnie komendant lotniska — może go poprosimy, żeby zabrał stąd tego drugiego "Liberatora".

ZDZISŁAW BAU

Znowu w Apeninach

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Włochy, w październiku

PASSO DEI MANDRIOLI

Kilkanaście kilometrów na północ od Arezzo zaczyna się już ta droga. Wjeżdżasz nagle w zupełnie inny świat. Jakiś bliższy, znajomy, urzekający. Nad Adriatykiem było zielono, przestronnie, słonecznie. Tu spotykasz jesień.

Góry stoją w czerwonych łunach liściastych drzew, po szczytach wloką się szare, ciężkie, deszczowe chmury. Szosa szkli się mokrym asfaltem i pełno na niej rdzawych plam, zostawionych przez spadające liście. A szosa jest śmiała, zawrotna, roztańczona zakrętami, fantastyczna! Cudownie malarska w szpalerach jesiennych drzew, idąca szczytami w chmurach i mgle, przerzucana z przełęczy na przełęcz. Wspina się na szczyty tysiącem zygzaków i skrętów, prostuje się na przełęczy Mandrioli, zatrzymując się na chwilę i gna, leci w dół zuchwałymi serpentynami jak potok, jak wodospad huczący motorami setek samochodów.

Przełęcz Mandrioli! Leży w chmurach, okryta mlecznymi mgłami, 1173 metry! Szosa wygląda stąd jak rzucona niedbale, od niechcenia, srebrna wstążka. W dole otwiera się przepaść. Purpurowa przepaść. Piekło. Pali się w niej szeroki, zmienny w barwie i natężeniu ogień liściastych lasów. Czasami pokrywają je dymy chmur, kotłują się mgły. Kiedy przedrze się na moment słońce — wybuchają oślepiającym pożarem złota i miedzi. Potem znowu gaszą go chmury.

Nim się jeszcze dojedzie do przełęczy, któryś z zakrętów rzuca nagle drogę w ciemny świerkowy las. Pierwszy prawdziwy las, jaki spotkaliśmy we Włoszech. Droga biegnie tunelem ciemnej, soczystej zieleni. W powietrzu pachnie żywica. Na szpilkach drzew błyszczą krople deszczu i opadają ciężko na ziemię. Las nie jest duży, ale w chwili, gdy się jedzie wśród tych zwisających gałęzi jest u siebie . . . w Polsce. Wysokie, dekoracyjne świerki tak bardzo przypominają inną, daleką drogę . . .

DROGA W CHMURACH

Gdzieś mniej więcej w połowie przepaści stoi wysoki, prosty krzyż. Miejsce ponurej katastrofy samochodowej, której ofiarą padła najbogatsza rodzina włoska z Subino. Samochód zleciał w przepaść i rozbił się na miazgę. Piękna, ale i niebezpieczna jest ta droga. Przede wszystkim jest wąska. Leci brzegami stromych ścian, ociera się o głębokie przepaście. Gdy pada deszcz staje się śliska, karkołomna i trudna. Dlatego też kierowcy mają zupełnie inne spojrzenie na nią przez szybę samochodu.

—Cholera, nie droga — mówią krótko.

I właściwie mają rację. Bo piękno jej widzi się tylko raz. Później jest tylko niezwykle trudnym odcinkiem, w który trzeba włożyć maximum uwagi, skupienia i opanowania. A to męczy, zwłaszcza, jeżeli panuje taka pogoda, jak obecnie.

Od pierwszego dnia, w którym Korpus wszedł na swój nowy odcinek w Apeninach, w górach leją deszcze. Kilkudniowe, ulewne, uparte deszcze.

Kiedy pierwszy raz wspinaliśmy się wozem na Passo dei Mandrioli w nizinie dzień był szary i rozchlapany deszczem. Na wysokości przełęczy deszcz już nie padał, ale w pewnej chwili zrobiło się zupełnie ciemno, chociaż była dopiero 2-a godzina po południu. Trzeba było zapalić reflektory. Jechaliśmy w gęstych, kłębiących się chmurach. Po kilku minutach droga zaczęła opadać, chmury rozpływały się wolno, robiło się coraz widniej i znowu zaczęło padać. W dolinie bębnił już po szybie ulewny deszcz.

"UWAGA NA SPADAJĄCE GŁAZY"!

Te właśnie deszcze zrobiły z drogi prawdziwe piekło. Przechodzą nią długie kolumny wozów, przejeżdżają carriery, przetaczają się czołgi. Amunicja, żywność, benzyna, sprzęt. Przepuszczanie takiej ilości wozów po wąskiej drodze, pełnej ostrych zakrętów i serpentyn, na której w wielu miejscach jest jednokierunkowy ruch a wszystkie mosty pozrywane przez cofających się Niemców i zastąpione Bailey'ami — stawia przed służbą regulacji ruchu olbrzymią odpowiedzialność i niezmiernie trudne zadanie. Posterunki żandarmerii wśród tych ulewnych deszczy, błota, zimna i mgły, w noc i w dzień pełnią swoją twardą i odpowiedzialną służbę. Ruch odbywa się sprawnie, szybko, dokładnie. Małe miasteczka u podnóża gór i w dolinie są jakby dworcami przetokowymi dla kolumn. Gdy jedna zjeżdża z gór, druga czeka na wolną drogę.

Sprawność ruchu zależy jednak przede wszystkim od stanu drogi. Tym martwią się saperzy. Trzeba przyznać, że oddziały saperskie pracują bardzo ciężko przy naprawie i konserwacji drogi. Nieprzerwane deszcze niszczą nawierzchnię, wezbrane rzeki i potoki górskie znoszą mosty, skały pękają, a na drogę walą się z góry lawiny ziemi, głazy i kamienie. Stanowi to nowe, poważne niebezpieczeństwo dla kierowców. Stąd też napisy ostrzegawcze przy drodze: "Uwaga na głazy spadające z gór" . . .

Parę dni temu jechaliśmy "łazikiem" przez górskie serpentyny. Pogoda była normalna, to znaczy, że lało jak diabli. W pewnym miejscu kolumna nagle zatrzymała się. Na drodze stoi patrol saperów. Dowodzi nimi młody, energiczny major. Tłumaczy coś kierowcom, wskazując przy tym laską w górę. Podchodzimy bliżej. Okazuje się, że zbocze zarysowało się i może lada chwila obsunąć się na szosę. Momentalnie staje tam posterunek żandarmerii. Wozy puszczane są pojedynczo, z zachowaniem odpowiednich odległości. Kolumna rusza dalej.

Dopiero wieczorem dowiedziałem się, że po kilku godzinach zbocze obsunęło się. Strat jednak nie było. Tu nie tylko prowadzi się walkę z ludźmi. Tu trzeba walczyć też z przyrodą.

ZNOWU IDZIEMY NAPRZÓD

W nocy z 17 na 18 października Korpus rozpoczął działania zaczepne na swym nowym górskim odcinku. Uderzyła Brygada Wileńska z zadaniem zepchnięcia Niemców z gór Monte Grosso i Monte Della Forche i otworzenia Korpusowi drogi w dolinę rzeki Padu. Akcja trwała kilka dni i przyniosła oddziałom polskim pełny sukces. Oba szczyty, bronione zaciekle przez nieprzyjaciela, zostały zdobyte i Niemcy rozpoczęli odwrót. Mimo fatalnych warunków atmosferycznych bataliony "Wilków", "Rysiów" i "Żbików" przerwały linie obrony niemieckiej, zajęły miasteczka S. Sofia, Galeata, Strada i zepchnęły Niemców z gór, odbierając im najważniejsze strategicznie szczyty. Nieprzyjaciel poniósł znaczne straty: ponad 100 jeńców, dużą ilość broni i amunicji, magazyny z żywnością i sprzętem.

Walka w tych górach nie była rzeczą łatwą. Kosztowała wiele wysiłku i trudu. W tych warunkach wygrywają tylko ludzie mocni, twardzi, wytrzymali. Żołnierze na własnych plecach musieli dźwigać zaopatrzenie, amunicję i ciężką broń. Z konieczności trzeba było przeprowadzić jak najdalej idące odciążenie. Z chwilą wejścia do walki żołnierze mieli przy sobie tylko sweter, płaszcz przeciwdeszczowy, suchy prowiant na kilka dni i jedną część menażki. Poza tym tylko broń i amunicję. Dużo amunicji.

Jeżeli się weźmie pod uwagę, że Brygada w ciągu 5 dni przeszła po górach w nieustannej walce z nieprzyjacielem 12 km. w linii prostej, co w terenie oznacza przynajmniej drugie tyle, na odcinku o szerokości 11 km. — to naprawdę znaczy wiele.

Wspaniale pracowali saperzy. Zresztą, pochwały są doprawdy zbyteczne, wystarczą cyfry: 450 stóp mostów Bailey'a, 4 km. objazdów, 23 km. nowych dróg, konserwacja 116 km. drogi, 70 rowów odwadniających, ponad 200 rozbrojonych min . . . To wszystko w deszczu, błocie, pod ciągłym ogniem nieprzyjacielskiej artylerii.

W zajmowanych miasteczkach witała naszych żołnierzy rozentuzjazmowana ludność. Były kwiaty i wino i uśmiechy dziewcząt. Podobno — jak to mi mówił jeden z moich znajomych, stary specjalista od wkraczania do uwolnionych od nieprzyjaciela miasteczek, człowiek z wielokrotną praktyką w tym kierunku — wino było tutaj najlepsze a dziewczęta całowały naprawdę. Mocno i namiętnie. I to nie tylko w momencie powitania . . .

W jednym z miasteczek przyprowadzili nasi chłopcy właścicielowi domu, w którym zatrzymali się na kwaterze, wszystkie jego woły, którymi Niemcy usiłowali ewakuować swoją artylerię. Działa zostały zdobyte, a woły zwrócono uszczęśliwionemu Włochowi. Radość oczywiście była szalona. Wypito przy tej okazji dużo wina, które jakimś dziwnym trafem znalazło się nagle w zamurowanej piwnicy, a oprócz tego "Polski Czerwony Krzyż" otrzymał 180 tyśięcy lirów.

DESZCZ . . . DESZCZ . . . BŁOTO

Od kilku dni optymiści twierdzą, że "jutro będzie pogoda". Tymczasem każde jutro przynosi to samo. Deszcz i jeszcze większe błoto. Chodzimy ciągle w wysokich gumowych butach i przeciwiperytowych płaszczach. I ciągle jest zimno, mokro, obrzydliwie. Na kwaterach z postrzelanych sufitów kapie woda. Wszystko jest mokre i przestaliśmy już mówić sobie "sto lat" przy kichaniu. Zresztą, do wszystkiego się można przyzwyczaić. Nawet do kapiących sufitów . . .

Po szosie idą długie kolumny, brzęcząc przeciwślizgowymi łańcuchami. Jedziemy już dalej. Spod kół bryzga błoto, chlupoczą kałuże. W drzewach szumi deszcz, monotonny, jesienny, smutny deszcz. Góry stoją w rudej magnezji artyleryjskich strzałów . . .

Jedziemy w dolinę Padu po pogodę i ciepłe, błękitne niebo.

Kwatera Prasowa 2 Korpusu

JANUSZ WEDOW

OCEAN — PUSTYNIA — DŻUNGLA Cz. III: Pustynia Arabii*

ZA KAIREM

Jak daleko sięgają wody nilowych wylewów, rozprowadzane przemyślną siecią kanałów, kanalików i rowów, tak daleko rozciąga się pas przy-nilowej, żyznej gleby, pokrytej zielenią pól i sadów. Ale czterdzieści mil za Kairo rozciąga się znów pustynia. Słońce wytoczyło się już nad szczyty dalekich, palestyńskich gór i jego skośne promienie oświetlają rudawy piasek pustyni. Błękitna wstęga Kanału Sueskiego, otoczona dwiema wstęgami zieleni, odeszła już ku południu i "Liberator" znów leci nad pustynią.

Czarna wstęga szosy łączącej Cairo z Jerozolimą idzie równolegle do *track'u* i uwalnia George'a od pracy nawigacyjnej. Aż do chwili dolotu nad Morze Martwe kurs maszyny jest równoległy do szosy. Bardzo kochana szosa, myśli George, obserwując wstęgę czarnego asfaltu. Po szosie toczą się niezliczone kolumny samochodów wojskowych. Na zachód. Ku Aleksandrii. Ku morzu. To dywizje Karpacka i Kresowa udają się na front, do Italii. Przynajmniej tak mu wczoraj powiedzieli spotkani u "Groppi'ego" rodacy:

—"Aż do samego Bagdadu będzie Pan przelatywał nad naszymi kolumnami, ściągającymi ku portom załadowczym, w drodze na front".

DALEKIE SĄ DROGI WIODĄCE DO POLSKI

Wokół pustynia, jak sięgnąć okiem tylko ten piasek i piasek i ta czarna wstęga szosy, z punkcikami samochodowych kolumn dążących ku morzu i za morze. Daleka droga — pomyślał mimo woli George. "Dalekie są drogi wiodące do Polski". Kto powiedział te słowa? Gdzie słyszałem te słowa? — zastanawia się. Prawda. Pamięta. Początek pierwszego aktu, pierwsza scena z tragedii "Sułkowski". Sułkowski, w tejże samej włoskiej ziemi, do której zdążają obecnie dywizje Karpacka i Kresowa, spotyka grupkę wiarusów z Legii nad-dunajskiej. Scena przy ognisku. Żołnierz Zawilec śpiewa:

"Od tego są wichry i deszcze
Od tego jest śnieg i grad,
Aby żołnierskiej bosej stopy
Nie ostał w obcym polu ślad".

Żołnierze — przypomina sobie George — skarżą się przed Sułkowskim na swą dolę, na ciągłe walki, na beznadziejność ich położenia. I te wspaniałe słowa odpowiedzi: "Dalekie są drogi wiodące do Polski. Będziemy się setkami walić po obcych drogach i w obce rowy, ale kiedyś do Polski dojdziemy. Moja szpada i wasze bagnety napiszą wówczas uniwersał, jak człowiek ma czcić człowieka".

Nie doszedł. Zginął na murach tej Aleksandrii, ku której dążą teraz te kolumny polskich dywizji, by znów, po 150 latach, podjąć swą daleką drogę "z ziemi włoskiej do Polski".

Daleka czeka ich droga. Czy dojdą? Czy doszedłszy, będą mieli jeszcze dość sił, by skrwawionymi bagnetami wypisać uniwersał sprawiedliwości społecznej w Niepodległej Polsce? Daleka jest droga do Polski, tych idących na zachód żołnierzy dywizji Karpackiej i Kresowej.

"Liberator" niesie się równo, statecznie ku swemu dalekiemu celowi, ku Indiom. Równolegle do jego kursu biegnie ciemna, asfaltowa szosa, którą toczą się kolumny samochodów zdążających w swą daleką drogę, ku Aleksandrii, ku Palermo, w swą daleką drogę "z ziemi włoskiej do Polski".

Po asfaltowej wstędze szosy pędzą kolumny samochodowe. Na zachód. Ku morzu. Za morze. Żołnierz polski rozpoczął swoją daleką drogę — ku Polsce.

"Liberator" niesie się samotnym, tysiące mil liczącym szlakiem. Na wschód. W kraj dzikich pustyń i jeszcze dzikszej dżungli.

NAD BIBLIJNYM KRAJEM

Teren zaczyna się zwolna podnosić i George co chwila bierze do rąk mikro, by poinformować Julka i Tadka, że te, tam, w dole, małe, nędzne miasteczka noszą właśnie te same nazwy, które usłyszeliśmy po raz pierwszy z ust naszych matek: Betlejem, Kana Galilejska, Jerozolima, Jeryho. Wprawdzie na mapie nazwy te napisane są innym językiem i innym jeszcze językiem nazywają swe miasta krajowcy, ale to są te same miasteczka, wioski i osady, które Chrystus na wieki uświęcił swą obecnością. I to jest to samo jezioro, położone w długiej dolinie wśród wysokich gór. Po jego falach stąpała stopa Tego, który w kazaniu na jednej z gór, otaczających wieńcem dolinę, powiedział do swych uczniów: — Po tym ludzie poznają, żeście uczniami moimi, że się wzajem miłować będziecie.

To też i miłujemy się wzajemnie — myśli gorzko George, dotykając karabinów maszynowych i wyrzutników bomb, wmontowanych w jego nawigatorskiej kabinie.

Samolot przelatuje właśnie nad głęboką doliną Jordanu i nagie, skaliste zbocza gór Trans-jordańskich podsuwają się pod same prawie płaty samolotu lecącego na 5000 stóp. Te nagie, nieurodzajne, spalone słońcem góry, to przednia straż pustyni, ścielącej się pomiędzy Damaszkiem a Bagdadem. Ostatnia placówka cywilizowanego życia: miasteczko Amman i zaraz tuż obok ciemne, asfaltowe *runway'e* lotniska El Zerqua, potem już przez wiele, wiele godzin nie ma nic, oprócz stepu ciągnącego się w nieskończoność. Spalony słońcem płaskowyż irackiego stepu bez śladu roślinności, bez śladu jakiegokolwiek życia. Pustka.

STEP PRZECIĘTY LINIĄ RUROCIĄGU

George mimowoli zaczyna wsłuchiwać się w równomierną, jednostajną pieśń motorów. Przecież tu, w tej straszliwej pustce, gdyby tak motory nawaliły . . . Lądowanie nie przedstawiałoby dla Julka poważniejszej trudności. Ale potem? Setki mil spalonego słońcem stepu, bez śladu roślinności, bez jednego, najlichszego źródła czy strumienia. Ale motory grają równo, miarowo swą zwycięską pieśń mocy i "Liberator" leci z niezmienną szybkością 185 mph ponad pustacią irackiego stepu.

W pewnej chwili, od północno-zachodniej strony przybliża się do ich *track'u*, równa, prosta, nieskończona, aż po horyzont idąca, wrysowana w step linia. Jakby jakiś olbrzymi pług wyorał przez całą długość stepu — prostą, w nieskończoność idącą bruzdę. To właśnie sławna *"pipe-line"*, prowadząca ropę naftową od urodajnych pól mossulskich aż do portom Syrii. Linia naftowa stąd, z wysokości 5000 stóp wygląda jak długa, prosta bruzda, wyorana w żółtawej glinie i piasku pustynnym. Co kilkanaście mil wznosi się kwadratowa, niska budowla, widocznie mieszcząca jakieś kontrolne organa linii. Samolot przelatuje ponad linią, przecina ją i linia oddala się ku wschodowi. I znów jest tylko pustka niezmierzonego stepu.

ZMIANA KURSU NAD RAJEM

Powoli upływają godziny. Słońce przetacza się ku południowi i coraz wyżej wznosi się na pobielałe od żaru niebo. W kabinie jest coraz goręcej i coraz szybciej opada poziom kawy w termosie. Pod koniec szóstej godziny lotu, na horyzoncie, daleko, daleko przed samolotem zabłękitniały dwie poplątane wstęgi: Eufrat i Tygrys. Nieco na prawo od *track'u* gra w promieniach słońca powierzchnia olbrzymiego jeziora Habbaniya. Tuż za jeziorem czernieją *runway'e* lotniska tej nazwy. George ujmuje mikro:

—"Julek, jesteśmy nad Habbaniya, zmiana kursu, nowy kurs 155 stopni".

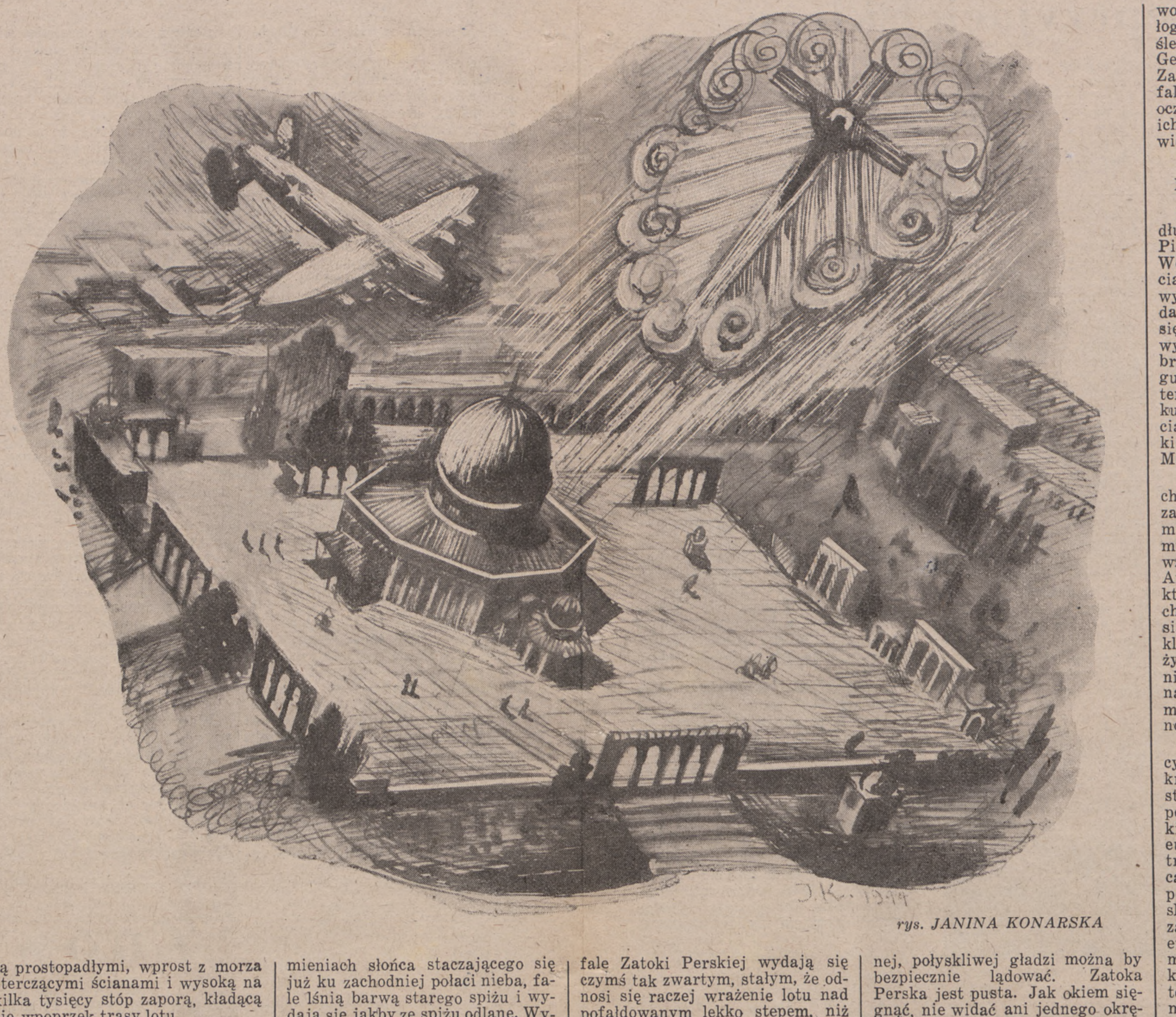
George chce jeszcze dodać, że przelatują nad krajem, w którym był pono kiedyś biblijny raj; z niego to pierwsi rodzice zostali wyeksmitowani za nieprzestrzeganie tajemnicy wojskowej. Ale spojrzawszy na beznadziejną pustkę stepu odkłada mikro. Po co ma Tadka i Julka zrażać do raju? Jeśli raj tak wygląda, to może i rację mają lotnicy amerykańscy, pisząc na swych samolotach, że: *"Heaven can wait"*.

W dole, na nagiej pustce stepu wznoszą się raptem jakieś niesymetryczne, porozrzucane bloki. Jakby ktoś rozsypał wielkie kwadratowe klocki, takie same, jakimi bawią się małe dzieci. Tylko że te klocki, leżące nad brzegami Tygrysu, przerastają wielkością i bezcelowością, wszystkie widziane dotąd zabawki. Dają się porównać tylko z innymi, również bezcelowo sterczącymi z piasków pustyni zabawkami faraonów — piramidami. Ale tu klocki są już porozrzucane i nie łączą się w żadną logiczną formę. George pochyla się nad mapą. "Ruiny miasta Ur" — odczytuje. Potem klocki nikną pod skrzydłami samolotu i znów jest tylko pusty, bezludny, nieurodzajny, nagi step.

Mijają godziny. Daleko, w przodzie, przed samolotem, jaśnieją już wody Zatoki Perskiej. W miejscu, gdzie schodzą się dwie równolegle dotąd biegnące rzeki: Eufrat i Tygrys, ścielą się szeroko białe mury Basra. Po przeciwnej stronie, już na Półwyspie Arabskim, w otoczeniu wysokich, średniowiecznych, obronnych murów, skupiły się i wypiętrzyły wysoko domy arabskiego miasta Kuwait.

NAD ZATOKĄ PERSKĄ

Znów zmiana kursu. "Liberator" wychodzi w morze, właściwie w Zatokę Perską. Ale zatoka jest trochę większa od Adriatyku, a już brzegi jej są tysiąckroć bardziej dzikie i niegościnne od najgorszych zakątków Albanii. Wzdłuż jej południowego brzegu ciągną się piaszczyste wybrzeża Arabii, po dziś należące do wolnych państw arabskich: Hasa, Trucial Oman i Ate Oman. Tu właśnie są najbogatsze połowy pereł i te to wybrzeża cieszyły się najgorszą sławą, uzyskując nazwę: Wybrzeża Piratów. Północna strona zatoki należy do Persji i za wyjątkiem jedynego w tej jej części portu: Bushire'y, jest jeszcze dziksza od części południowej. Nagie, skaliste, słońcem spalone góry wyrastają prostopadłymi, wprost z morza sterczącymi ścianami i wysoką na kilka tysięcy stóp zaporą, kładącą się wpoprzek trasy lotu.



rys. JANINA KONARSKA

"Liberator" leci nad oleistymi falami Zatoki Perskiej. W promieniach słońca staczającego się już ku zachodniej połaci nieba, fale lśnią barwą starego spiżu i wydają się jakby ze spiżu odlane. Wydają się ciężkie i nieruchome. Oglądane z wysokości 5000 stóp, fale Zatoki Perskiej wydają się czymś tak zwartym, stałym, że odnosi się raczej wrażenie lotu nad pofałdowanym lekko stepem, niż nad morzem. Mimowoli przychodzi myśl, że na tej, lekko sfałdowanej, połyskliwej gładzi można by bezpiecznie lądować. Zatoka Perska jest pusta. Jak okiem sięgnąć, nie widać ani jednego okrętu, ani jednej łodzi rybackiej.

Podobno niemieckie okręty podwodne nawiedzają te wody i załogi "Liberatorów" mają rozkaz śledzenia powierzchni morza. Ale George na próżno nadwyręża oczy. Zatoka jest idealnie pusta. Oleiste fale nie zdradzają swego sekretu, oczy nawigatora nie mogą przebić ich połyskliwej, spiżowej powierzchni.

NAGA PUSTYNIA ARABII

Na horyzoncie majaczy biała, długa linia. To piaszczyste zarysy Pirackiego Wybrzeża, granica Wolnego Państwa Arabskiego Trucial Oman'u. Linia złotego piasku wygina się ku północy i zagradza dalszy lot. Z każdą chwilą zbliża się ku samotnemu samolotowi. Już wyraźnie widać niski, piaszczysty brzeg i ciągnące się za linią brzegu piaszczyste, lotne wydmy. Potem już nic nie zatrzymuje wzroku. Piaski Pustyni Arabskiej rozciągają się na tysiąc mil od Zatoki Perskiej aż ku Czerwonemu Morzu.

Arabia. Obszar równy powierzchnią całej Zachodniej Europie, zamieszkały przez niecałe dwa miliony ludności; ludności, rozmieszczonej zresztą przeważnie wzdłuż linii wybrzeża. Wnętrze Arabii jest pustynią, pustynią, którą można porównać tylko z Zachodnim Erg'iem. Piasek. Tysiąc mil piasku. Brak wody wyklucza możliwość jakiegokolwiek życia roślin. Brak roślinności czyni wnętrze Arabii niedostępnym nawet dla najdzikszych, najprymitywniejszych plemion arabskich nomadów.

Tylko wzdłuż tysiące mil liczących, dzikich wybrzeży dzikiego kraju, rozsiadły się nieliczne miasta nadmorskie. Porty tych miast, położonych u piaszczystych, płytkich wód, są niedostępne dla europejskich okrętów, które zatrzymują się zazwyczaj na redach, całą komunikację z właściwym portem powierzając łodziom arabskich żeglarzy. Ogranicza się ona zazwyczaj do paru skrzyń towarów europejskich, zamówionych przez miejscowego władcę. Ludność nie kupuje zamorskich towarów, dla tej prostej przyczyny, że nic w zamian za nie nie ma do ofiarowania. To też statki europejskie tylko raz na kilka miesięcy zawijają na redy tych dziwnych portów, należących do egzotycznych miast . . . Za ich murami życie zatrzymało się na XII-ym wieku. Po dziś dzień u wrót kamiennych pałaców, egzotyczni władcy zasiadają na sądy, w których jedynym prawem decydującym o życiu lub śmierci jest nieograniczona niczym wola lub kaprys sędziego, jest on nieograniczonym panem życia i mienia swych poddanych.

MIASTA — REZERWAT NAJGŁĘBSZEGO ŚREDNIOWIECZA

Mury miasta są gliniane i niezbyt obronne. Ale silniej, od najsilniejszych murów, odgradza miasto od reszty świata pustynia. Są dwa rodzaje pustyni: pustynia wody i pustynia piasku. Obie są zarówno nieprzekraczalne dla mieszkańców nadmorskich miast Arabii. Łodzie i niewielkie, jakby żywcem wyjęte z opowiadania o Żeglarzu Sindbad'zie, żaglowce, należą do władcy. Wypływają tylko na jego rozkaz i na jego rachunek. Do niego należy cały zdobyty na morzu połów ryb i pereł. Stąd bajeczne, niewiarygodne po prostu bogactwo władców — i niewiarygodna nędza ludności.

Miasta żyją życiem wieków średnich, niewolnictwo jest rzeczą zupełnie oczywistą, i tylko niewolnicy, zakupieni w "nowoczesnej" Afryce, na wielkich jarmarkach niewolników w oazach Wielkiego Erg'u, buntują się przeciw odwiecznemu prawu, że niewolnik, który utracił siłę do pracy, traci także i prawo do otrzymywania żywności, a tym samym możność życia. Tylko niewolnicy przywiezieni z "humanitarnej" Sahary buntują się przeciw temu, oczywistemu prawu i w konsekwencji giną od miecza lub włóczni. Niewolnicy miejscowi szanują zwyczaje uświęcone tradycją stuleci i gdy zostaną wyrzuceni przez swego właściciela poza obręb bezokiennych, biało-kamiennych domów, spokojnie udają się poza gliniane mury miasta i tam spokojnie czekają na śmierć głodową, która położy kres ich życiu pełnemu pracy i cierpień. Żaden z nich nawet nie próbuje prosić o jałmużnę, wie, że na Półwyspie Arabskim, w nadmorskich miastach Zatoki Perskiej i Oceanu Indyjskiego, nikt im jałmużny nie da, nikt nie przedłuży o dzień lub dwa powolnego konania starego niewolnika, który już nie może pracować. Jest to tak oczywiste, jak to, że w europejskich miastach, żaden z bezdomnych włóczęgów, w najmroźniejszą nawet noc, nie zapuka do mieszkania przeciętnego "burżuja", bo wie, że do mieszkania wpuszczony nie będzie, gdyż, w naszych miastach "nie wpuszcza się" włóczęgów do mieszkań. Tak samo oczywiste jest tam, w miastach o glinianych murach, że "nie karmi się" wyrzuconych poza mury niewolników.

Julek przymknął gaz i monotonny szum silników ścichł o kilka tonów i przeszedł w łagodny pomruk. Opuszczając się ku czerniejącym asfaltom *runway'ów*, samolot przelatuje nisko nad płaskimi dachami, otoczonej glinianym murem Shariah'i. W tym mieście z XII-go wieku, nikt nie dziwi się obecności samolotów. Przecież już na kilka wieków przed 1941 rokiem, w którym to ponad Shariah'a przeleciał pierwszy samolot, opowiadali uliczni opowiadacze bajek o ptaku-olbrzymie, imieniem Rokk, który krąży ponad Arabią i raz na sto lat znosi jajko, z którego wykluwa się, raz na sto lat, potomstwo ptaka Rokk'a. Więc nasz "Liberator", który krąży nad płaskimi dachami Shariah'a, póki Tadek nie ukończy rozmowy z *"tower'em"*, jest tylko potwierdzeniem, że prawdę opowiadacze bajek mówili, i że po wielu wiekach, ptak Rokk wyhodował liczne potomstwo, które teraz szybuje nad otoczoną glinianymi murami Shariah'ą.

ROZSTĘP SIEDMIUSET LAT

Lotnisko i miasto to dwa światy. Oddziela je nie tylko szereg posterunków, zasieki i tablice ostrzegawcze. Pomiędzy lotniskiem a miastem leży przestrzeń co najmniej 700 lat.

Tadek ukończył rozmowy z *"tower'em"*:

—"Julek, możesz lądować" — mówi.

Koła docierają gładzi asfaltowej, czarnej wstęgi. George otwiera okienko i z miejsca oblewa się potem. Struga gorącego powietrza wsącza się do kabiny i utrudnia oddech. Serce zaczyna przepompowywać z wysiłkiem krew w rozszerzone z gorąca żyły. Całe ciało okrywa się potem i płuca z trudnością chwytają z rozżarzonym powietrzu potrzebny im tlen. A przecież lotnisko jest tuż nad brzegiem morza. Jeśli tu, nad samym brzegiem powietrze jest tak rozżarzone, jak straszne musi być ono tam, za tymi glinianymi murami?

Ale tego nikt z lotników zbadać nie może. Oczywista, że ci ludzie, które w ciągu paru godzin przemierzają trzy-czwarte globu, nie zatrzymałyby się przed oddzielającymi je od miasta zasiekami i glinianymi murami. Przebyłyby dzielącą Lotnisko Shariah od Miasta Shariah przestrzeń 700 lat, z równą łatwością, z jaką przebyły dzielącą Montreal od Shariah Fieldu przestrzeń 9000 mil. Ale jest jeszcze jedna, niebywała zapora. W mieście panuje epidemia. Lecący do przeludnionych Indii lotnicy, nie mogą ryzykować rozwleczenia zarazy. Muszą więc ograniczyć się do niewielkiej, wyznaczonej im przestrzeni.

NA SKRAWKU PIRACKIEGO WYBRZEŻA

Na szczęście jest w niej i kilkaset stóp morskiego brzegu, jakieś stare, na pół spróchniałe molo. Morze wprost roi się od ryb, jest ich tak pełno, że można by je chwytać rękami, gdyby można dostać się do wody z wysokiej palisady mola. Setki różnokształtnych i różnobarwnych odmian ryb prześlizgują się w powolnych, sennych ruchach między starymi, zakrzepłymi w kamień, palami mola.

Kilkunastu dzieciaków, należących do krajowej służby mesy /mieszkających oczywiście na lotnisku/ skacze w morze [illegible], by im [illegible] nadyjskie [illegible] egipskie piastry [illegible] dosy migają w powietrzu, przecinają taflę morza, [illegible] źroczystych [illegible] ciemnych dłoniach [illegible] rostków. Chłopcy są [illegible] synami rybaków i poławiaczy pereł. Cała zręczność [illegible] Omanu to rybacy i poławiacze pereł. Pływanie i nurkowanie mają we krwi. Dopiero [illegible] arabskich chłopców, widzi się, że zarówno Weissmüller, jak i wszyscy inni hollywoodzcy pływacy, są marnymi fuszerami, wobec poławiaczy pereł z Pirackiego Wybrzeża.

GRANICA DWU ŚWIATÓW

Jest noc. Na ciemnym aksamicie nieba rozsiały się miliardy srebrnych gwiazd. Wiejąca od morza [illegible] bryza [illegible] powietrze [illegible] czynek umęczonemu żarem sercu i płucom przepalonym pustynnym powietrzem. Tylko [illegible] du oddzielający lotnisko od miasta skąpany jest w świetle potężnych reflektorów.

W ich jaskrawym, oślepiającym białym świetle piasek pustyni wydaje się biały jak sól, a druty kolczastych zasieków wydają się z polerowanego srebra. Po przeciwnej stronie lotniska przemierza oświetloną przestrzeń, równymi, miarowymi krokami, przystojny w turban, żołnierz Indyjskiej Armii, Cesarza Indii i Króla Anglii, Jerzego VI-go. W odległości stu yardów, po drugiej stronie zasieków, Władca Wolnego, Arabskiego Państwa Trucial Oman'u wystawił swój posterunek. Hindus jest uzbrojony w nowoczesny *tommy-gun*, Arab w skałkowy karabin, pamiętający zapewne czasy bitwy pod Chocimem i zdobycie Bizancjum.

Odległość pomiędzy obu wartownikami nie przekracza 100 yard'ów. Ale [illegible] stynnego piasku stanowi granicę dwóch Światów. Między wartownikami legły [illegible] przestrzeń [illegible] ca dwu odrębnych kultur — i może najsilniejsza [illegible] pór: widmo zarazy.

BOLESŁAW POMIAN

* Por. poprzednie artykuły w nr. 38 i 43 "Polski Walczącej" z b.r.

WIERSZE

MODLITWA

Kazałeś mi Panie, gdym był chłopcem małym,
miłować ojca i matkę moją
—miłowałem.
Kazałeś Panie kochać kraj mój rodzinny:
i niebo i ziemię, dom i wszystko
—kochałem.
Kazałeś widzieć w bliźnim brata mego
i jego miłować jak Ciebie
—miłowałem.
Kazałeś nie zabijać
—nie zabijałem;
i nie kraść
—nie kradłem;
i dzielić się z bliźnim
napojem i jadłem
i lewy nastawić policzek,
gdy cios padnie w prawy—
nastawiałem
—dla Sprawy!
Aż oto ojca mego i matkę, z domu wygnano,
kazano
iść im precz.
A dom mój rodzinny stał się
domem niewoli;
a kraj mój spalono
i smutek i rozpacz
dziś płoną
i śmierć kwitnie na naszej roli . . .
Aż oto bliźni
przyszedł zabijać
i kraść
i bić po twarzy
i zdzierać świętości z moich ołtarzy . . .
. . . A ja wtedy . . .
uszedłem
/bo bałem się paść/
—stchórzyłem!

Moja wina,
moja wielka wina! . . .
W imię Ojca i Syna
i Ducha Świętego
daj mi Panie walczyć
o prawo powrotu.
Nie zachowuj mnie ode złego,
lecz zło ślij przed twarz
i karz
mnie, jeśli ma dzielność zawiedzie.
Chcę wrócić do ruin domu mego,
chcę nogi ściskać mieszkającej tam biedzie,
chcę prosić ją, by mnie pod
dach swój spalony przyjęła . . .
Więc nie zachowuj mnie ode złego
a ślij zło przed twarz
i karz
mnie, jeśli nienawiść do wrogów zawiedzie.
Zapal we mnie Odwetu Sakrament
i tak zostaw płonący
Amen.

Anglia, 1944.

MIECZYSŁAW PAWLIKOWSKI

CZARNA OFIARA

Że dym mu w piersi wbił się i zardzewiał,
Kain w nienawiści zakrzepł do Boga i brata,
i mówił tajemnie w myślach: wypruję bratu
trzewia
a Boga wykpię —

kuł nóż.

Zbrodnia rodzi się nocą, więc gdy cienie wstały
i pierwsze na oliwkach gdy pogasły blaski,
wyszedł jak zmora czekać na kroki brata,
mające zastukać o brzasku.

Lecz tymczasem Abel spał pod bożą obroną;
hymn jego piersi, serca, snu
w błękitach tonął.

Hymn wydeptaną ścieżką kończył maraton,
bo dzień już swoje prostował dłonie
i czyścił szaty.

I kiedy słońce jak kogut na płocie
czapkowało snom dobranoc,
wyszedł przed chatę, spojrzał na niebo:
już rano.

Pod słonecznikiem, w kałuży po deszczu,
kąpały się wróbelki szare,
Abel wziął owoce i poszedł na górę
złożyć Bogu ofiarę.

Zapalił stos.
Dym biały jak wstążki —
nogi Bogu owinął,

wtem nadpłynęła czarna chmura
i stało się sino.

Kain wyskoczył z cienia,
nożem ciął:
biały dym przecięty pofrunął wolny.

Z piersi brata —
strumyk czy lont krwi
rozszedł się na cztery strony świata.

JERZY FACZYŃSKI

ŻNIWIARZ

. . . I spadła na nich klątwa Boża,
że trawy łąk i kłosy zboża
do obcych pójdą śpichlerzy.

Zbudził się. W ręce chwycił świt
i zatarł ślady cierpień,
i wybiegł. A na polach kwitł
gorący polski sierpień.
Za pobielonych linią chat
szły żółto-zboże łany
i mokrym sianem pachniał wiatr,
a świat miał włosy lniane . . .
O grzbiet koniczynowych pól
słońce się łokciem wsparło . . .
Przystanął — wrócił dawny ból
i serce znów zamarło,
i ruchem kosy, siłą rąk,
po najeżonych rżyskach
ciął łany zbóż i trawy łąk
i srebrno ostrzem błyskał.
Rwał ciepłe żyto, wiązał w snop,
dla wrogich, obcych śpichrzy,
a modlił się: "Przyjdź deszczu, skrop
je; Przybądź mocny wichrze
i stargaj pola, zboża zniszcz
błyskawicową burzą.
Niechaj się staną kupą zgliszcz
i cmentarzyskiem kurzu".
Gdy już u drzwi zachodu stał
i o gniew Boga prosił,
Bóg go wysłuchał, deszcze słał,
a człowiek kosił, kosił . . .
Aż do tych krwawszych odszedł żniw
i po skoszonym życie
na ostrzu kosy poniósł śmierć,
jak żółty kłos pszenicy . . .

ZOFIA ILIŃSKA

KOMPANIA PIECHOTY

Miała kiedyś kompania osiemdziesiąt serc,
I miała wiele gorącej i płynnej krwi.
Dziś zostało tych serc mniej — mniej więcej
o ćwierć.
Tak jest zwykle, gdy wojsko idzie się bić.

Miała kiedyś kompania morowego kaprala,
Który nigdy nikomu nie dał opeeru.
Na mogile kaprala, rosną dzisiaj konwalie.
Pocisk wyszedł zdradziecko z ostatniego
"Tiger-u".

Była kiedyś piosenka na ustach kompanii,
O dziewczynie błękitnej z dalekiej wsi.
Leżą strzelcy z kompanii, na wojnie
pochowani,
Strzelcy, którzy o wieś tę poszli się bić.

JERZY BAZAREWSKI

Polska podwodna

"Dzik" wchodzi do portu nieprzyjacielskiego

Dzień był cichy, słoneczny, wesoły. Ani jedna chmura nie plamiła nieba, ani jedna fala nie mąciła powierzchni morza. Jerzy upajał się kolorytem nieba, kąpał się w promieniach słońca, zdawał się dzielić radość istnienia z igrającymi dokoła peryskopu delfinami.

Obraz ten za chwilę znika, zastąpiony powagą i ciszą okrętu podwodnego. Ze spuszczeniem peryskopu, oczy pełne blasku słonecznego, muszą przyzwyczaić się na nowo do światła nikłych żarówek elektrycznych. Wzrok pada na manometry głębokości, ciśnienia, na ciche, pół-senne sylwetki sterników, na zgorzkniałą twarz podsłuchowca, przebiega poprzez ciemną długość uśpionego okrętu, którego ciszę przerywają jedynie odgłosy głębokiego, niezdrowego snu marynarzy, oraz cichy szum motorów elektrycznych.

Wolnymi krokami przechodzi Jerzy poprzez centralę. Daje rozkazy do pomp, wydaje dziesiątki drobnych zarządzeń — myślą jednak jest daleko. Operacja, którą okręt ma przedsięwziąć nazajutrz, objęła wszystkie komórki jego mózgu.

—"Góra peryskop!" — Wyrwać się choć na chwilę, zapomnieć, ukoić widokiem spokoju nerwy, nadszarpnięte dwoma tygodniami patrolu.

Ten sam obraz, te same delfiny igrające w słońcu, to samo niebo, morze jeszcze bardziej niebieskie i jeszcze piękniejsze. Na twarz Jerzego pada wyraz smutku i troski. Na zachodzie ukazały się ponad widnokręgiem lekkie chmury, które poczęły się zwolna skłębiać, rosnąć, potężnieć. W swawolnym igraniu delfinów można zauważyć coś nerwowego, coś nienaturalnego. Mewy zniżyły lot, jakby szukając schronienia u lekko marszczącego się już morza, aby za chwilę rzucić się w górę.

Nadchodzi sztorm. Jeżeli tak, operacja może się nie udać. W ostatnim brzasku widać jeszcze przez peryskop ciemne zarysy horyzontu rozbujanego przez rosnącą w oczach falę, oraz kłęby kotłujących się chmur. Silne kołysanie, rzucanie okrętu na burtę, daje przedsmak nadciągającego piekła.

Uderzenie w uszy, pęd świeżego powietrza, które w pierwszej chwili działa jak narkotyk, ból nadmiernie pracujących płuc przy raptownej zmianie ciśnienia — i okręt przechodzi z podwodnego trybu życia na nawodny.

Grzebienie fal, rwane przez wiatr, niesione ponad wodą, uderzają o burty pomostu, rozbijając się na pył. Biją nieprzyjemnie i boleśnie w twarz stojącego na pomoście. Wiatr wzmaga się. Rośnie fala i rzucanie okrętu. Chmury zniżają się coraz bardziej. Pierwsza fala przelała się przez pomost. Przykryła okręt. Za chwilę druga, trzecia. Z zadziwiającą szybkością piekło rozpętuje swe żywioły, grożąc zagładą wszystkiemu, co zechce się przeciwstawiać.

Nie widać nic. Czarne, postrzępione kosmyki chmur chylą się ku spiętrzonemu morzu. Okręt sztormuje, redukując szybkość do minimum. Ponure i przeciągłe wycie wiatru, huk i trzask rozbijającej się fali, tonny wody lejącej się poprzez kiosk do wnętrza okrętu, wytężone do ostateczności oczy przemoczonych obserwatorów — oto idylla walczącego o byt okrętu podwodnego.

Nad mapą tymczasem chylą się w skupieniu dwie przygarbione sylwetki — dowódcy i nawigatora. Wykreślają kursy, odmierzają mile, liczą, kalkulują.

—Jeżeli da Bóg i sztorm uspokoi się, o świcie forsujemy wejście — mówi dowódca głosem spokojnym a stanowczym. — Zmienić kurs na południowy-wschód; zbliżyć się do portu na odległość 10 mil.

—Sztorm przechodzi — myśli Jerzy, przenosząc się znów ku zbliżającej się operacji. Obrazy forsowania wejścia do portu, walki na śmierć i życie wewnątrz portu z konwojem nieprzyjacielskim, próby ucieczki, przewijają się przez myśl.

Ranek wstaje słoneczny i cichy. Długa, martwa fala świadczy o zmaganiach nocy ubiegłej. Szerokie wejście portowe przyciąga wzrok oficera wachtowego, który operuje sprawnie peryskopem. Na okręcie ruch. Poprzez centralę przewijają się marynarze na stanowiska alarmu bojowego.

—Uwaga chłopcy — odzywa się dowódca — w porcie przed lotnictwem schronił się konwój nieprzyjacielski. Naszym zadaniem jest wejść do portu i przez zaskoczenie zniszczyć eskortę, po czym rozprawić się ze statkami handlowymi. Zadanie nie jest łatwe. Musimy być przygotowani na najgorsze. — Tu zatrzymał się, spojrzał na twarze swych podwładnych. — Idziemy — zakończył.

Na okręcie cisza. Ostrożnie, na małej szybkości podchodzimy coraz bliżej i bliżej celu — wejścia portowego. Szybkie obejrzenie horyzontu, para namiarów z lądu dla określenia miejsca — "peryskop dół", aby za chwilę podnieść go i stwierdzić, że odległość zmniejsza się, że gra o wielką stawkę — życia okrętu i kilkudziesięciu ludzi — zaczęta, że cofnąć się już nie można.

Naprężenie nerwowe rośnie. Oczy załogi wpatrzone w dowódcę, słuch natężony. Oby tylko czegoś nie przeoczyć, oby tylko nie pominąć jakiegoś rozkazu. Okręt stał się wraz z jego ludźmi jedną maszyną, w której każde kółeczko zazębia się z drugim, gdzie od wysiłku i nadludzkiej uwagi każdego z załogi zależy czy ujrzymy lub nie ujrzymy już światła dziennego.

Mila, pół, cztery kable, już niemal dziób przechodzi wejście. Nagle: szarpnięcie okrętu, zgrzyt żelastwa o burty, potężne dwa wybuchy, sypanie się szkła żarówek, silny trym na dziób, potem na rufę. I cisza. Rwanie śrub ukazuje grozę sytuacji: Jesteśmy unieruchomieni w sieci.

—Motory cała naprzód!

Próżny trud. Okręt szarpie, rwie, kręci się. Więzy sieci trzymają go kurczowo na tej samej głębokości. Każda sekunda walki o życie wydaje się rokiem, każda minuta wiekiem.

—Motory cała wstecz!

Jedyna szansa — znikoma. Zgrzyt ponowny po kadłubie, jeszcze jedna mina eksploduje gdzieś u wejścia. Rufa porwana śrubami drze się w górę. Wyrzuci na powierzchnię — będziemy straceni.

—Załoga na rufę! Przycisnąć rufę.

Głębokość utrzymana. Jesteśmy wolni!

—Góra peryskop!

—Nic nie widać. Peryskop zalany.

—Góra drugi raz!

—Kontrtorpedowiec wychodzi z portu!

—Uwaga na aparatach. Pal! Prawo na burt! Schodzimy na dużą głębokość.

Minuty oczekiwania — raz, dwa, trzy wybuchy. Trafiony! Zabiły serca.

—Nie chodzić po okręcie! — Zatrzymać wszystkie mechanizmy!

—Zbliża się od strony portu — melduje podsłuch.

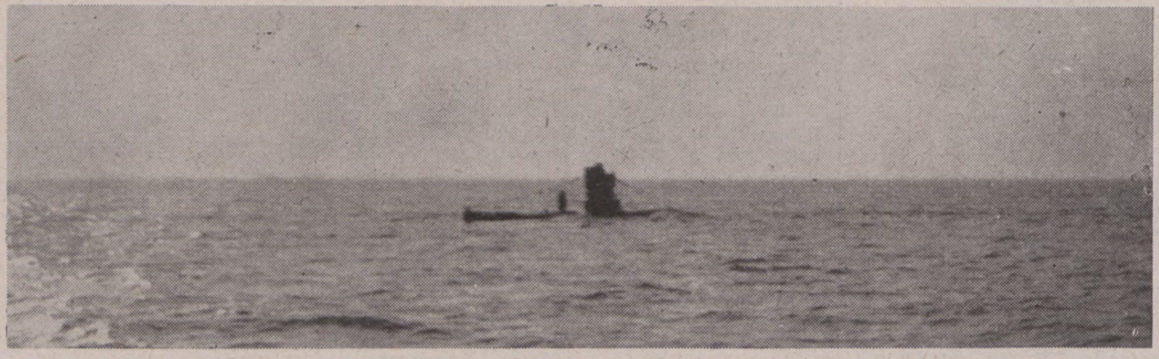
Drugi kontrtorpedowiec wychodzi, zapewne aby ratować rozbitków — pociesza się każdy. Nadzieje jednak okazują się płonne. Pierwsza seria bomb głębinowych zatrzęsła okrętem. Wkrótce druga, trzecia, dziesiąta. Polowanie zaczęte.

—Oby tylko nie długo — odzywa się ktoś.

—Więcej nie może rzucić, niż może — odpowiada drugi.

—Cisza na okręcie! Nie rozmawiać! Ster prawo na burt! — głos dowódcy.

Po parogodzinnym bezskutecznym bombardowaniu, oddalają się wreszcie śruby nieprzyjaciela. Wychodzimy na peryskop. Ściemnia się. U wejścia do portu ruch wielki. Motorówki, łodzie ratunkowe, parę tratw, plamy oliwy, są widocznym znakiem naszego sukcesu.



ADAM Z "DZIKA"

Zmiana ról i "odrobina szczęścia"

Dwa dni temu na tych samych wodach uganialiśmy się za zwierzyną, odnosząc sukces za sukcesem. W ciągu jednej nocy mieliśmy na rozkładzie duży transportowiec o wyporności około 4000 ton i cztery szkunery. Szczęście nam dopisywało i zwierzyna do prostu sama szła pod strzał. Samoloty niemieckie patrolowały uparcie nasz sektor, ale nas nie wyśledziły. Korwety i ścigacze nie napastowały nas, mając zapewne do roboty coś innego. Nie mogło to jednak trwać wiecznie, a po zniszczeniu tamtego konwoju musieliśmy oczekiwać wzmożonej czujności ze strony nieprzyjaciela i jego kontrakcji.

Wiadomo, że siła okrętu podwodnego leży w zaskoczeniu. Raz wykryty okręt podwodny łatwo staje się łupem jako tako uzbrojonych okrętów nawodnych, z którymi nie może się mierzyć i przed którymi nie może uciec, mając mniejszą szybkość. Los wykrytego okrętu podwodnego nie jest wtedy do pozazdroszczenia i jedynie przysłowiowa "odrobina szczęścia" ratuje go z opresji. Ale trzeba mieć tę "odrobinę szczęścia". Tym razem myśmy ją mieli.

Owego styczniowego popołudnia patrolowaliśmy wśród wysp archipelagu greckiego. Zupełnie gładkie morze nie pozwalało na wynurzenie się, ani na stałe pływanie na głębokości peryskopowej. Wody Morza Śródziemnego są tak przeźroczyste, że dopiero na większych głębokościach okręt podwodny nie jest widoczny z samolotu.

Przed wieczorem otrzymaliśmy rozkaz zmiany sektoru. Zapadała szybko ciemna głucha noc. Przez peryskop nic nie było widać. Trzeba było wyjść na powierzchnię. Tuż przed wynurzeniem usłyszeliśmy śruby wolno płynącego na prawo od nas statku lub okrętu. Zmieniliśmy kurs. Gdy śruby ucichły, na zmniejszonych obrotach poczęliśmy wychodzić na powierzchnię.

Zanim jednak okręt wypłynął na głębokość peryskopową, znów bardzo blisko usłyszeliśmy śruby. Słychać je było gołym uchem. Przyrządy podsłuchowe tym razem zawiodły. Może było zbyt blisko. Wykorzystując zbiorniki szybkiego zanurzania "Sokół" zeszedł na 30 metrów, zmieniając znów kurs. Teraz dopiero podsłuch usłyszał wyraźnie dwa okręty z różnych kierunków.

Nie było się co łudzić. Tym razem polowano na nas. Może jednak nie dostrzeżono nas jeszcze?

W minutę po zejściu w dół wątpliwości się rozwiały: bardzo blisko wybuchła bomba głębinowa.

Zamykając klapy balastów "Sokół" zszedł na 60 metrów. Podsłuch zanotował szybko zbliżające się śruby z prawej burty. Nieprzyjaciel szedł do ataku. Jakoż w chwilę później śruby przeszły dokładnie nad "Sokołem".

Pięć wybuchów bomb ponad nami rzuciło okręt w dół do 85 metrów. Pogasły światła. Klapa balastu nr. 3 przepuszczała. Zawór jej zaciął się. Przez odwietrznik gwałtownie napływała woda do centrali.

Jeszcze nie uporaliśmy się z tymi zaworami, gdy nastąpił drugi atak. Tym razem z lewej burty. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem potężnych wybuchów nad samym okrętem rzuciło nas w dół do 100 metrów. Zdawało się, że okręt łamie się w środku. Zegary manometrów przestały działać. Przez zluzowane nity woda wdzierała się strumieniami. Szczęśliwie stery nie były uszkodzone.

Zmieniliśmy znów kurs o 90 stopni. Mimo to atakowano nas jeszcze dwukrotnie.

Właz dziobowy przepuszczał. "Sokół" szybko nabierał wody i tonął. Byliśmy już na 110 metrach i ciągle szliśmy na dół. Podszasowaliśmy balasty i zwiększyliśmy szybkość, lecz mimo to nie mogliśmy zatrzymać opadania okrętu.

Nadomiar podsłuch znów usłyszał zbliżanie się śrub. Zmniejszyliśmy szybkość do 200 obrotów i czekamy. Rzuci bomby, czy nie rzuci? . . . Jest już nad nami . . . przechodzi . . . i nic.

Nie rzucił. Widocznie nieprzyjaciel nie ściga nas na podsłuch, lecz na pingowanie. Zwiększyliśmy szybkość do 300 obrotów i okręt powoli począł iść do góry.

Odetchnęliśmy. Jeszcze nie nadszedł nasz koniec. Ale i przygoda na tym się nie skończyła. Na głębokości 80 metrów natrafiliśmy na warstwę wody, przez którą z trudnością przebiliśmy się do góry. Coś zupełnie niezrozumiałego.

Ale oto nowa niespodzianka. Osiągnąwszy 70 metrów "Sokół" zaczął gwałtownie wynurzać się i mimo zwiększenia obrotów i zatopienia zbiornika szybkiego zanurzenia szedł na powierzchnię. Otwarliśmy odwietrzniki jeszcze dwóch balastów i z głębokości 8-miu metrów spadliśmy ponownie na 60 m. Na tej głębokości manewrując szybkościami doczekaliśmy się odejścia nieprzyjaciela.

Po dwóch godzinach w zanurzeniu "Sokół" wyszedł na powierzchnię. Morze było gładkie i silnie fosforyzowało. Naokół cisza. Widnokrąg czysty. Płyniemy do portu, aby naprawić uszkodzenia i przygotować się na nową przygodę.

WŁADYSŁAW PLASKOTA

W ostatniej minucie

Trzeci już dzień i trzecią noc krążymy w pobliżu portu Bari. Dziś wieczorem kończy się nasza służba i mamy wracać do bazy. Ale wracać z próżnymi rękoma? Dlaczego nieprzyjaciel uparcie siedzi zasłonięty sieciami i nadbrzeżami i nie wychodzi na morze? Już trzy razy *trawlery* oczyszczały z min kanał wejściowy, kilkakrotnie zapalono światła latarń, wyraźnie widzieliśmy kilka statków stojących pod parą — najwidoczniej gotowe do wypłynięcia i . . . nie wychodzą.

Załoga traci animusz. Ciągłe schodzenie w dół przed samolotami, wynurzanie się na moment, aby znów pogrążyć się na 70 nie jest zajęciem zbyt urozmaiconym, a przecież wyczerpującym. Żeby się to chociaż opłaciło!

Dwa torpedowce w szyku torowym przeszły w odległości 3600 metrów kierując się do portu. Za nimi samotny torpedowiec w odległości 1500 m. Wszystkie weszły do portu. Nadzieje zaczynają się ożywiać. Z wszelką pewnością będą one stanowiły eskortę konwoju. Żeby tylko konwój wyszedł przed końcem naszej służby.

Mamy jeszcze dwie godziny czasu. W porcie nie widać żadnych zmian. Już dzisiaj nie wypłyną. A może tak poszukać nieprzyjaciela w jego własnym domu? Wytrałowanym przez okręty nieprzyjaciela kanałem wpłynęliśmy do zatoki portowej, z zamiarem wystrzelenia torped poprzez bramę portową. Niestety strzał do wewnątrz był możliwy tylko z powierzchni i jedynie do jednego małego statku. Inne zasłonięte były nadbrzeżami. Trzeba było zrezygnować z ataku i wycofać się na głębsze wody.

Za parę minut mieliśmy opuścić sektor. Wtem oficer wachtowy spostrzegł bardzo odległy dym w kierunku północnym. Odległość wynosiła ponad 24.000 m.

Słychać było odległe wybuchy bomb głębinowych. Pomiędzy nami i dymem krążyły dwa wodnosamoloty typu "Cant". Trzeba zejść pod wodę.

—Głębokość 70! Kurs 100!

Po 90-ciu minutach wynurzyliśmy się na głębokość peryskopową. Tak, to konwój. Jeden tankowiec o 5000 ton, jeden statek pasażerski o 6000 ton pod osłoną torpedowca i dużego *trawlera*. Eskortowce silnie zygzakowały. Odległość 2000.

—Alarm bojowy!

—Kurs 190!

—Kąt 80!

Byliśmy w takiej pozycji, że statki nie mogły się wzajemnie zasłonić. Statek pasażerski odległy był o 500 m. a tankowiec o 900 m.

—Torpeda nr. 1 — ognia!

—Torpeda nr. 2, nr. 3 i nr. 4 — ognia!

Liczymy sekundy — po 40, 50, 65 i 73 sekundach torpedy eksplodowały kolejno. Wszystkie w celu!

—Kurs sto!

—Głębokość 70!

—Szybkość 6!

Rozkazy wykonywane są z precyzyjnością chronometru.

Teraz zacznie się polowanie na nas. Jakoż po trzech minutach od chwili wystrzelenia pierwszej torpedy wybuchła bardzo blisko pierwsza bomba, nie wyrządzając nam żadnej szkody. Za nią przyszły inne. Ciągłą zmianą kursu i szybkości staraliśmy się zmylić pościg. Eskortowiec zrzucił 22 bomby, wszystkie jednak w takiej odległości, że poza uszkodzeniem logu nie mieliśmy innych szkód.

Po upływie 13 minut usłyszeliśmy wyraźne odgłosy łamanego przez ciśnienie wody tonącego statku. Wszelkie odgłosy śrub ustały.

W pół godziny później wyszliśmy na powierzchnię, aby sprawdzić wyniki ataku. Niestety noc była tak ciemna, że nic nie było widać. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że było to zaćmienie księżyca.

Nie było czasu na szukanie szczątków zatopionych statków. Eskortowiec po wyrzuceniu wszystkich bomb udał się zapewne do Bari po nowy ładunek i niewątpliwie sprowadzi całą zgraję ścigaczy.

Na dużych obrotach odpływaliśmy jak najdalej od miejsca ataku.

W ostatniej minucie wróg dał nam szansę i wykorzystaliśmy ją. Na ścianach kabiny załogi przybyły dwie swastyki.

JÓZEF GRZYWICZ

O ziemi Franciszka Kozła



Fotografie: MARIANA WALENTYNOWICZA

Dzień był chłodny, a ostry wiatr listopadowy marszczył zieloną wodę koło molo. Czekaliśmy już od godziny na okręt, a tymczasem na jakiś inny stojący z boku, wchodzili po wąskim mostku czarni żołnierze amerykańscy. Za chwilę popłyną na drugi brzeg. Za tydzień może, czarni chłopcy będą zwyciężać, lub ginąć za tę wolność, której błogosławieństwa mają być rozdzielane między ludzi nie wedle koloru skóry, lecz barwy dusz i sumień.

Ale nie o nich myślałem spacerując tam i z powrotem po długim betonowym chodniku. Ciekawy zbieg okoliczności. Równe pięć lat minęło od chwili, gdy okręt "Puławski" wyrzucił na brzeg francuski garść Polaków, którzy usłyszeli, że pod niebem wolności znowu można karabin wziąć do ręki i wojenkę, "Wielką Panią" w czerwone usta pocałowawszy, innej miłości już nie pragnąć. Myśli raz na tor wspomnień pchnięte toczą się dalej same:

—Wielkie koszary kolorowych wojsk w Marsylii, pociąg-widmo do obozu w Coëtquidan, orkiestra przy bramie, maleńka wioska Peigniarde, chlewki, słoma, wszy, wielki komin i nocne rozmowy, szklaneczki ostrego Calvados'u i rąbanie przerębli na rzece w poszukiwaniu wody do kuchni, do mycia, do prania, do wszystkiego. Zimno w ręce i nogi, lodowate uszy, tylko serca pod cienkim drelichem gorące, może tak gorące, jak już nigdy potem. W końcu twarze tych *François* Kozioł i *Antoine* Mroz, młode twarze, trochę zanadto bujne czupryny, nigdy zanadto bujne uczucia. *François* Kozioł myślał zadzierżyście i zadzierżyście mówił. Miał dwadzieścia lat, lat, które nie znoszą tajenia w sobie myśli. Myśl jest poto, żeby wypryskiwała na zewnątrz. Stary sierżant z Polski, szef kompanii kiwał głową naszpikowaną zgorszeniem. "Twarda jest ta mowa" — myślał, albo raczej — "To ci pyskują"! — "Rekrut, a już nauczył się mówić". A może w duszy cicho zaryzykował: "Komuniści" — "Bo to panie jeden z drugim jeszcze koszulę w zębach nosi, a już anarchizuje. Niepojęte!" Ej, panie szefie, zmieniłeś ty zdanie w kilka miesięcy potem. Czerwony był *François* Kozioł, ale od własnej krwi, przelanej za Polskę, której może nigdy w życiu nie widział. A kiedy ja ją zobaczę . . .

Na szczęście to niewesołe pytanie przerwało buczenie syreny. Wielki, pomalowany na zielono transportowiec zbliżał się do molo. Zaskrzypiały drewniane oszalowania. Olbrzym otarł się łagodnie o brzeg, wyrzucił zza burty grube i cienkie liny i w końcu znieruchomiał. Pilnie wypatrywać zacząłem między niebieskimi mundurami marynarzy, dobrze znanych mi sylwetek "turystów". Nie było ich jednak na pokładzie.

Dopiero po dobrej chwili, kiedy już mostek połączył małą wysepkę z wielką wyspą-matką, zaczęli wychodzić gęsiego z jakichś drzwi i defilować długim, bardzo długim sznurem. Ochotnicy z Francji. Stałem z boku przypatrując im się niby obojętnie, jak na dziennikarza przystało, ale w rzeczywistości serce czułem gdzieś bardzo wysoko — pod gardłem.

Szli. Te same twarze, te same bujne czupryny, ten sam wnikliwy wyraz oczu. Tylko, że cerę mieli trochę ziemistą, pod oczami trochę cienia, świadczącego wymownie o doli tych pięciu lat niemieckiego porządku i pruskiej gospodarki po tąmtej stronie Kanału.

Szli w granatowych dżokejkach i bronzowych beretach, w jakimś kusym sweterku z ręcznikiem owiniętym koło szyi. Ostry listopadowy wiatr właził bez ceremonii pod wytarte kurteczki. Kilku było po prostu w koszulach i spodniach. Na jednym zobaczyłem kurtkę od polskiego munduru — tego z Września.

Przerzucone przez ramię popielate koce i porządne buty wojskowego fasonu, to były już nabytki z nowego świata. Nowy świat wyzierał spod bud samochodów, czekających w długiej kolumnie, by młodego rekruta Rzeczypospolitej zawieźć do nieznanej Szkocji, gdzie już tylu Polaków otrzymało sakrament broni i błogosławieństwo równej, otwartej walki.

Za tydzień, dwa, będziecie już prawdziwym wojskiem. Będzie Franciszek Kozioł w pięknym nowym mundurze wykonywał chwyty i zwroty, będzie śpiewał maszerując białymi szosami na pola ćwiczeń, zielone, szkockie pola, będzie w tradycyjnym ogonku stawał do, ponad wszystko sławnego kotła, będzie spał w ciepłych salach baraków dobrej, wspólnej woli. Stojąc rano w szeregu, u progu nowego dnia pracy w rzemiośle, ponad inne rzemiosła świętym, posłyszy powitanie: — "Czołem Żołnierze!" Tak będzie może jutro, tak będzie na pewno za tydzień.

Dudni mostek pośpiesznymi krokami. W wielkiej hali ustawia się kolorowy, niekoniecznie wyrównany i niekoniecznie pokryty trójszereg. Rotmistrz R.K. delegat Ministra Obrony Narodowej staje przed frontem. Mówi krótko. O nowym życiu, nowych, zaszczytnych obowiązkach, nowych, wielkich prawach. I chociaż wiem, że nie usłyszę słów nieznanych, nabrzmiałych patosem, niebosiężnych, przecież po raz drugi w dniu dzisiejszym serce podchodzi mi pod gardło.

—"Od dzisiaj jesteście żołnierzami Polski".

Ileż to razy, z ilu ust, pod iloma szerokościami geograficznymi padły te słowa w ciągu ostatnich pięciu lat. Na tym polega właśnie ich wstrząsająca prawda, w tym leży ich moc nadprzyrodzona. Słowa sakramentalne, słowa przemienienia chleba i wina wolnej woli i wiary w krew i ciało ofiarowania.

"A na początku wszystkiego była miłość". Twarda, mądra, nieustępliwa miłość. Wyziera z oczu Franciszka Kozła, wypisana jest na twarzach niewyrównanego trójszeregu, który tak bardzo chciałbym już teraz, jeszcze na tym molo angielskiego portu przywitać okrzykiem: "Czołem Żołnierze!" I przy tym powitaniu stanąłbym na baczność. Najpiękniej jak potrafię. I salutowałbym z dumą ochotników przybywających z ziemi francuskiej do ziemi angielskiej, by bić się o ziemię między Tatrami, a Bałtykiem, między Wilnem, a Wartą położoną.

Tę ziemię Franciszek Kozioł nazywa Polską. Bo tak nazywał ją jego ojciec i dziad i wszyscy rodziny Kozłów przodkowie, do setnego pokolenia.

Londyn, dnia 14 *listopada* 1944 *r.*

JAN ROSTWOROWSKI

Polscy ochotnicy z Francji



Skrzynka pocztowa

NASZA DANINA KRWI JEST WIĘKSZA

Drogi Redaktorze,

Zestawienie strat ludzkich, poniesionych przez Polskie Siły Zbrojne, jakie ukazało się w n-rze 47 Pańskiego pisma /artykuł: "Danina krwi i wkład idei"/, nie obejmując choćby przybliżonej liczby poległych i rannych w powstaniu warszawskim i towarzyszącej mu akcji zbrojnej na innych terenach Kraju, nie daje pełnego obrazu strat krwawych Polski Walczącej, a tym samym nie może jeszcze stanowić podstawy do porównawczego obliczania naszego udziału w tej wojnie.

Nie mówiąc o tym, że w dzisiejszych warunkach trudno rozłączyć ofiary wojskowe od ofiar cywilnych, wymienione zestawienie pomija m.in. cenę krwi, zapłaconą w ciągu trzyletniej działalności P.O.W.N. we Francji, która wyraża się cyfrą około 300 osób, w tym także kobiet. A gdy dodać do tego straty poniesione przez naszą służbę wywiadowczą na terenach całej Europy, może się okazać, że kampania norweska była stosunkowo najmniej kosztowną w ludziach akcją polską tej wojny.

Zestawienie nie obejmuje nowych strat, poniesionych przez Armię Krajową na terenach poza linią Curzona, oraz na ziemiach Polski Komitetowej.

Gdyby je wszystkie wymienić i dodać, okazało by się z pewnością, że procentowy wkład Polski do wojny, jeżeli mierzyć go tylko liczbą ofiar poległych lub rannych w walce jest bezkonkurencyjnie najwyższy. Jest to dla nas powód nie tylko dumy, ale także straszliwego żalu i niepokoju rodzącego się z pytania: co osiągnęliśmy w zamian? Co nam zdobyła ta bezcenna krew?

Byłaby nie do zniesienia świadomość, gdyby dla każdego, kto sprawę polską reprezentuje wobec aliantów nie stanowiła ona co najmniej źródła siły moralnej, równej tamtemu poświęceniu; jeżeli nie jest w każdym wypadku argumentem najwyższej mocy w obronie naszego prawa do życia, do udziału w zwycięstwie i w budowie sprawiedliwego pokoju na ziemiach wspólnego świata, którego byliśmy podobno, między innymi, także natchnieniem.

Ze słowami oddanej przyjaźni.

Aleksander Janta

50-LECIE POLSKIEJ MISJI KATOLICKIEJ W LONDYNIE

Polska Misja Katolicka w Londynie święci w roku bieżącym złoty jubileusz swego istnienia. Mija bowiem 50 lat, odkąd ś.p. Kardynał Vaughan, arcybiskup westminsterski, erygował był w r. 1894 placówkę duszpasterską celem opieki religijnej nad Polakami, którzy bądź to na stałe, bądź w przejeździe za chlebem znaleźli się na bruku londyńskim. Pierwotny ubożuchny kościół tymczasowy w dzielnicy portowej, w pobliżu doków, ustąpił miejsca okazalszej świątyni, przerobionej ze zboru Swedenborgianów przy Devonshire Str. /obecnie Devonia Road/, w dzielnicy Islington; kościół ten poświęcił ks. kardynał prymas Hlond 12 października 1930 r.

Początkowo skupiali się przy nim w niedziele i święta Polacy z t.zw. "starej kolonii", którzy głównie temu środkowi życia religijnego zawdzięczają, że zachowali wiarę ojców i język ojczysty. Z chwilą wybuchu wojny, a zwłaszcza, gdy po upadku Francji w Londynie znalazł się Rząd Polski oraz liczne rzesze rodaków wojskowych i cywilnych, skromny ten kościół przyoblókł się w niezwykłe jakieś dostojeństwo. Zda się, że spłynęło nań i zawarło się w nim coś z zamkniętych na głucho i sprofanowanych świątyń ojczystych. Stał się on w pewnym okresie jedynym wolnym polskim Domem Bożym w Europie. Ileż to obiło się o jego mury serdecznych błagań, ile gorących westchnień wzniosło się do stóp Częstochowskiej Królowej . . . Ile razy wołał tu lud tułaczy: "Do wolnej Polski nam powrócić daj!" Jeśli każda świątynia jest "przybytkiem Boga z ludźmi", to ileż bardziej ten cichy zakątek, będący jakby cząstką Ojczyzny na obcej ziemi, stał się dla nas Bożym i naszym domem.

Zapobiegliwy rektor misji polskiej, ks. Staniszewski, marzy o tym, by przyozdobić nasz kościół, tak, aby pozostała pamiątka pobytu w Londynie uchodźców polskich. Polski artysta malarz przygotowuje przepiękne witraże. Rzeźbiarz polski pracuje nad stacjami Drogi Krzyżowej.

Czyżby z okazji 50-lecia Misji nie należało Polakom przyczynić się do dokonania wielkiego i pięknego dzieła? Gdyby każdy z rodaków ofiarował na ten cel chociażby skromny datek, powstałaby cenna pamiątka pobytu Polaków w Londynie.

Londyn, Święto M.B.Ostrobramskiej, 1944.

Karol Radoński
Biskup Włocławski

P.S. Ofiary na powyższy cel prosimy przesyłać pod adresem: *Polish Catholic Mission*, 2, *Devonia Road, London, N*.1.

O PEŁNE POLITYCZNE WYZYSKANIE TRUDU ŻOŁNIERZY

W artykule "Orła Białego" "Monte Cassino to nie Somosierra" są takie słowa: " . . . musimy wykazywać zapominającemu światu, że nie słabnie nasza wola osiągnięcia na drodze walki wszystkich naszych politycznych celów . . . żołnierz z polskiego Korpusu, bijąc się o wzgórze Widmo, 593, 569, St. Angelo, o Mass Albanetta, o ruiny klasztoru, o Passo Corno i o Piedimonte, walczył nie o sławę, ale o cele polityczne . . . Bił się dlatego, by czyn jego orężny został przekuty na broń polityczną".

Tymi słowy, jako mottem, chcę jako żołnierz wyrazić uczucia, myśli i opinię nie tylko swoją, ale również wszystkich żołnierzy, biorących udział w walkach na morzu, w powietrzu, we Francji, Holandii, Włoszech, w celu zwrócenia uwagi szerokiej opinii publicznej, a szczególnie odpowiedzialnych czynników oficjalnych i wojskowych na nasze braki w dziedzinie propagandy polityczno-wojskowej.

Nasi marynarze, lotnicy, żołnierze wojska lądowego, bijąc się, nie mają czasu myśleć o tym wiele, gdyż zresztą nie jest to ich zadaniem, ale doskonale sobie zdają sprawę i boleją mocno, że nasz udział w walce często jest już nie tylko zapomniany, pomijany ale niekiedy nawet, być może przypadkiem, zatajany lub fałszowany w radiu, prasie i reportażach filmowych naszych sojuszników, a zwłaszcza przez B.B.C. i "Fleet Street".

Marynarz, lotnik i żołnierz polski domagają się stanowczo, żeby codzienne komunikaty B.B.C. i centralnych dzienników londyńskich jasno stwierdzały, że n.p. wzgórza Widmo, 593, 569, Mass Albanetta, Monte Cassino, Piedimonte, Ancona, Ypres, Breda, Moerdijk i t.p. zostały zdobyte nie "ogólnikowo" przez "*Allies*", lecz przez "*Polish Troops*". Gdy się czytało o Falaise, o Arnhem, to z powodzi reportarzy i opowiadań o chwale oręża brytyjskiego ledwo można było wyłowić kilka zdań o udziale oddziałów polskich. Gorzej, zdobycie Bredy zostało nawet przypisane "*Allies*".

O udziale polskich okrętów wojennych bardzo rzadko Admiralicja Brytyjska wspomina, a o naszych lotnikach, którzy dzień w dzień ze swoimi macierzystymi jednostkami biorą udział w walce, prawie że się nie słyszy.

Polski marynarz, lotnik i żołnierz oczekuje od swoich czynników oficjalnych i wojskowych interwencji już nie okresowej ale codziennej w powyższej sprawie w B.B.C. i na "Fleet Street" — o lojalne, bezstronne i zgodne z sytuacją komunikaty o udziale Polskich Sił Zbrojnych na wodzie, lądzie i w powietrzu. Nie wystarcza mu bardzo miłe, pochlebne, przychylne i obiektywne ujęcie wrażeń M.P. płk. Mitchela o Wojsku Polskim przed Parlamentem brytyjskim lub na prywatnych zebraniach i odczytach. On chce, ażeby o jego znoju i lojalnej pracy wiedział król brytyjskiej opinii publicznej — szary człowiek ulicy, przeciętny obywatel — przy pomocy codziennych komunikatów B.B.C., centralnych i głównych organów prasowych, nie tylko prowincjonalnych. I tu nie może być mowy, że to może zaszkodzić stosunkom polsko-rosyjskim lub angielsko-rosyjskim.

Dalej oczekuje on od swoich czynników oficjalnych i wojskowych najszybszego wysłania własnych operatorów filmowych i fotografów na pola walk, do dywizjonów, na statki, aby stale dawać światu prawdę temu, że Polska jest nie tylko "natchnieniem narodów". Ta tak pochlebna opinia o nas może wkrótce być zapomniana, o ile nie będziemy przedstawiali w radiu, prasie, na filmach w państwach sojuszniczych i neutralnych naszego wkładu wojennego. O ile tych operatorów wojskowa czołówka filmowa lub "Zrzeszenie Filmowców" przez cztery lata nie zdołały wyszkolić, należy wypożyczyć ich od sojuszników.

Następnie oczekuje on również intensywniejszego wydawnictwa pocztowych, zwykłych, świątecznych plakatów, broszur, publikacji, książek, organizowania odczytów, związanych z naszym udziałem i wkładem wojennym.

Wreszcie polski marynarz, lotnik i żołnierz oczekuje od naszych polityków, dyplomatów, strategów, oficerów łącznikowych, agentów prasowych, korespondentów, wydawców, producentów filmowych wykazywania jak największego wysiłku na swoich odcinkach pracy, ażeby "stale przypominać zapominającemu światu, że nie słabnie nasza wola osiągnięcia na drodze walki wszelkich naszych politycznych celów".

Z żołnierskim pozdrowieniem.

Kazimierz Oporny
jeden z żołnierzy

Kącik językowy

/kpr. W.Z., Szkocja/ Jak należy mówić poprawnie: "z wyjątkiem" czy "za wyjątkiem"?

—Należy mówić "z wyjątkiem". Wyrażenie "za wyjątkiem" jest brzydkim rusycyzmem, którego rozpowszechnienie należy, być może, przypisać podobieństwu do innego, poprawnego zwrotu: "poza wyjątkiem" /zwłaszcza w brzmieniu: "poza jednym jedynym wyjątkiem"/.

/por. P.P./ Jak można zastąpić wyraz "szwankować", który razi ze względu na niemieckie pochodzenie?

—Podzielamy niechęć Pana do tego wyrazu. Podajemy kilka wyrazów rodzimego pochodzenia o znaczeniu zbliżonym: kuleć — chromać — niedomagać — nie dopisywać — zawodzić.

/pchor. M.D./ Dlaczego się mówi: "Nie słyszałem nikogo" obok: "Nie słyszałem nic", "Nic nie widziałem"? Budowa tych zdań jest jednakowa, mimo to zaimek w zdaniu pierwszym jest użyty w dopełniaczu, w zdaniach zaś następnych — w bierniku. Czy wszystkie te zwroty są poprawne?

—Zasadniczo po czasowniku z przeczeniem stosuje się przypadek drugi. Użycie biernika w tego rodzaju wypadkach stanowi oczywisty błąd, który określa się niekiedy żartobliwą nazwą "accusativus tromtadraticus". *Jednak wyraz "nic" nie podlega tej ogólnej zasadzie. Językoznawcy wyjaśniają ten wyjątek pochodzeniem wyrazu "nic".*

POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Dear Sir,

Will you please accept the enclosed postal order for £1.1.0 for your Fund for the Relief of Polish Children.

I am,

Yours faithfully,

Margaret L. Samuel /Miss/

NA P.C.K.

P.T. "Polska Walcząca",

W załączeniu przesyłam 10/- /P.O. "crossed" nr. 697384/ złożonych na P.C.K. przez ks. prob. /szkoc./ Father Herold'a w dniu 19.XI.1944 w dowód uznania dla dobrych produkcji orkiestry Domu Ozdrowieńców na przedstawieniu w świetlicy Domu O.

Oficer opieki
D.O.W.P.

KOMUNIKAT NAUCZYCIELSKI

Zarząd Zrzeszenia Nauczycieli Polaków w Wielkiej Brytanii ma zamiar zorganizować informacyjny kurs nauczycielski dla tych Kolegów nauczycieli, którzy przybyli ostatnio z Francji, Belgii i Holandii na teren Wielkiej Brytanii.

W tym celu Zarząd prosi zainteresowanych Kolegów o niezwłoczne zgłaszanie swych adresów. Adres Zrzeszenia: 45, Belgrave Square, London, S.W.1.

Zarząd

Na pomoc Warszawie: £1,304

Uzyskany rabat w sumie 17 sh. z rozsprzedaży na terenie jednej z Polskich Eskadr Technicznych w miesiącu październiku, Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza, Polski Walczącej oraz Skrzydeł, przekazuję Postal Orderem na pomoc Warszawie.

Z poważaniem

M.Ż. plut.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Przesyłam Panu w załączeniu czek na £7 /siedem funtów/ z prośbą o przekazanie tej sumy na pomoc dla dzieci Warszawy. Kwotę powyższą złożyli oficerowie i szeregowi . . . Komp. km. plot. ppanc. z okazji rocznicy Niepodległości Państwa Polskiego.

Oficer Oświatowy
W.K. por.

Pan Redaktor "Polski Walczącej",

Uprzejmie przekazuję za pośrednictwem "Polski Walczącej" kwotę £6 sh.14 /słownie: sześć funtów i czternaście szylingów/ złożoną na Pomoc Warszawie przez Żandarmów Plutonu Dowodzenia Szwadronu Żandarmerii, zamiast urządzenia pożegnania dla Kolegi.

Załączam Postal Order na kwotę £6 sh.14.

Za ofiarodawców:
Tadeusz Pundyk

* * *

Funtów trzy przesłane na pokrycie kosztów umieszczenia nekrologu Redakcja "Polski Walczącej" przeznacza na pomoc Warszawie.

* * *

Redakcja "Polska Walcząca".

Zamiast wieńca na grób prezesa Z.A.S.P. ś.p. T. Szymonowicza, członkowie Lotniczej Czołówki Teatralnej — zebraną w drodze dobrowolnej składki sumę £5 sh.10, przesyłają z prośbą o przekazanie na fundusz pomocy Warszawie.

Kierownik L.C.T.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £23.1.0 /słownie: dwadzieścia trzy funty i jeden szyling/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £1,304.5.5½ /słownie: tysiąc trzysta cztery funty, pięć szylingów, pięć i pół pensa/.

SŁOWO DO LWOWIAN

Lotnicy polscy, głównie z dywizjonów oznaczonych nazwą Lwowa i Ziemi Czerwieńskiej, wystąpili z inicjatywą ufundowania ołtarza ku czci Matki Boskiej Królowej Korony Polskiej we wspaniałej Katedrze Liverpoolskiej. Ołtarz ten ma być religijnym pomnikiem tego okresu obecnej wojny, w którym Dywizjon Lwowskich Puchaczy ramię przy ramieniu ze swymi brytyjskimi towarzyszami broni odpierał i niszczył niemieckie zagony bombowe nad Liverpool. Piękny ten projekt wchodzi w stadium realizacji przy czynnym współudziale wielu katolików angielskich. Lotników polskich reprezentuje Redaktor dwutygodnika "Skrzydła", zbierając datki Polaków na ten cel.

Imieniem Związku Ziem Południowo Wschodnich R.P. przyłączam się do odezwy Lotników polskich i zwracam się z gorącą prośbą do wszystkich Rodaków z naszych ziem ze Lwowem na czele o składanie datków na budowę ołtarza. Choć nie dorównamy może naszym angielskim przyjaciołom w wysokości zebranych sum, dorównajmy im ofiarnością w stosunku do posiadanych środków. Dajmy tyle, na ile nas stać, ale dajmy wszyscy. Nie tyle wysokość kwot, ile liczba ofiarodawców i ich intencje niech świadczą o naszych uczuciach wobec Gwiazdy Lwowa Najświętszej Marii Panny i naszego ukochanego, zawsze wiernego Miasta.

Piotr Siekanowicz

POZOSTAWIANIE W CZYNNEJ SŁUŻBIE PODOF. ZAW. Z KATEGORII E.

Najnowsze zarządzenie Ministra Obrony Narodowej określa szczegóły dotyczące sprawy pozostawienia w dalszej czynnej służbie wojskowej tych podof. zawodowych, którzy uzyskali kategorię zdolności fizycznej "E".

Podoficer zawodowy, który w czasie i wskutek pełnienia służby wojskowej nabawił się choroby lub odniósł kalectwo uzyskując Kat. E. może być pozostawiony na własną prośbę nadal w czynnej służbie. Decyduje o tym Minister Obrony Narodowej.

Warunki pod jakimi jest to możliwe, są następujące:

- —że choroba jego nie zagraża otoczeniu, t.zn., że nie cierpi na gruźlicę, choroby zakaźne, padaczkę lub choroby umysłowe,
- —posiada nienaganną opinię służbową,
- —istnieje realna możliwość dalszego wykorzystania go w służbie na funkcji odpowiedniej do jego stanu zdrowia.

Prośby kieruje się normalną drogą służbową.

Zarządzenie to dotyczy także podoficerów zaw. już zwolnionych z czynnej służby.

Ranni żołnierze wojsk spadochronowych przebywający w szpitalach angielskich lub polskich na terenie W. Brytanii podadzą swe adresy do Komendanta Spadochronowego Ośrodka Zapasowego /Polish Forces, P/100/.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

UMIZGI DO FRANCJI



Na starą nutę:
"Czy mu dać, czy nie dać,
Czy Versalu poczekać . . ."

ZIMA ZBLIŻA SIĘ W SZKOCJI



Pod znakiem V . . .

JEDNAK PRAWDZIWE . . .

Dziwimy się bardzo, że tak mało mówi się i pisze w prasie brytyjskiej o naszym wysiłku wojennym . . . A oto fakt z naszej łączki:

Do "Ogniska Polskiego" w Edynburgu przybył porucznik I Dywizji Pancernej — lat około 25. Pierś jego zdobiły jeszcze lśniące krzyże — "Virtuti Militari" i "Krzyż Walecznych". Na widok białych proporczyków zerwał się z krzesła jeden z oficerów rezerwy. Po serdecznym przywitaniu "cywil" zasypał gościa pytaniami:

—Co się z panem dzieje, gdzie się pan obraca?

—Przyjechałem na urlop — na trzy dni . . .

—Pewnie z Londynu?

—Nie!!! Z Holandii . . .

—Z Holandii??? A co tam słychać?

—A no nic . . . Chwilami bomby, artyleria, karabiny maszynowe . . .

—Ach, to pan pojechał na wojnę! Ooo!! . . To bardzo ładnie . . . Lecz co to? . . . Widzę u pana "Virtuti Militari"! To z tej wojny czy jeszcze z poprzedniej? . . .

—Drogi panie, przecież ja mam dopiero 25 lat?

—Ach tak, *sorry* jestem! Czasem to tak człowiek strzeli głupstwo . . . Czy pan zdobył te krzyże na froncie czy w Londynie???

—??? . . .

—Niech się pan nie gniewa, ale już nie interesuję się wojskiem! Nie było dla mnie posady w wojsku . . . Panie kolego! A ten czarny naramiennik to co oznacza? Czy to też odznączenie?

—Nie! To symbol 10 Brygady . . .

—Wie pan, że nigdy nie zwróciłem uwagi . . .

—A ten czarny sznurek na lewym ramieniu? Czy to może za kampanie w Normandii?

—Nie! To sznurek od gwizdka . . .

—Ach tak, zupełnie zapomniałem. Proszę pana, niech mi pan szczerze odpowie, czy Dywizja Maczka posiada czołgi, czy to tylko tak się pisze dla propagandy?

* * *

P.S. Z uwagi na dobre imię rezerwy, nie wymieniam nazwiska rozmówcy.

RZECZY CIEKAWE, ZABAWNE I POŻYTECZNE

Pewien sklep w Londynie wystawił na sprzedaż popiersia słynnych ludzi w cenie: 15 szylingów każde. Są tam popiersia: Churchilla, Roosevelta, Stalina, Lincolna, królowej Wiktorii i innych. Według oświadczeń sklepikarza, najwięcej sprzedano popiersi Joad'a — filozofa, i gwiazdora popularnego słuchowiska radiowego pod nazwą *Brains Trust.*

/d/

Na zjeździe młodzieży w Kingston-on-Thames miano wyświetlić piękny film Noel Cowarda o brytyjskiej marynarce p.t. *In Which We Serve.* Jednak — jak donosi *Daily Mail* — sprzeciwiono się temu, bo we filmie marynarze zbyt soczyście klną, więc zjazd musiał z filmu zrezygnować.

/d/

"Wyobraź sobie moja droga", opowiadała Angielka swojej przyjaciółce — "stałam wczoraj godzinę w ogonku po szminkę do warg i gdy przyszła na mnie kolej nie mogłam dostać gatunku, który lubię. Czasami chciałabym, żeby ta wojna się już naprawdę skończyła".

/d/

POMOC DLA RANNYCH



—Żołnierzykowi pewnie przydadzą się nici i igły . . .

Tekst i rysunki: **TONY**

APEL P.C.K.

Polski Czerwony Krzyż, zwraca się z gorącym apelem do wszystkich Rodaków, by zamiast tegorocznych życzeń Świątecznych i Noworocznych, zechcieli nadsyłać datki dla "Rannego Żołnierza lub "Na Pomoc Dla Kraju .

PODZIĘKOWANIE

Szukiewicz Witold /P/64/ serdecznie dziękuje Dyrektorowi Szpitala im. Paderewskiego Prof. Doktorowi Juraszowi za wykonanie operacji plastyczno-kosmetycznej nosa, jak również innym osobom asystującym przy operacji.

Ich wierny sługa.

SPIS RZECZY:

KOMUNIKAT DO EMIGRANTÓW POLSKICH Z FRANCJI

1. Ochotnicy z Francji oraz żołnierze nowoprzybyli do W. Brytanii proszeni są o podanie swoich adresów do Komitetu Emigrantów Polskich z Francji — 45, Belgrave Square, London, S.W.1.

2. Odznaka dystynkcyjna dla żołnierzy emigrantów z Francji /dla armii lądowej, marynarki wojennej i lotnictwa/ jest to nabycia w kantynach wojskowych. Cena sh. 1/3 za sztukę.

3. Sprawa repatriacji masowej osób cywilnych z W. Brytanii do Francji jest na razie nieaktualna.

Komitet Wykonawczy
Emigrantów Polskich z Francji

"POLISH TROOPS IN ITALY"

Biblioteka Walczącej Polski pod redakcją Wacława Śledzińskiego wydała publikację w języku angielskim p.t.: "POLISH TROOPS IN ITALY" pióra Mariana Czuchnowskiego. Tematem tej pracy są dzieje i walki II Korpusu polskiego. Broszura ilustrowana jest 19 fotografiami. Cena egzemplarza 2/6.

Ta sama praca wydana została poprzednio w języku polskim p.t.: "Z ziemi włoskiej do Polski".

KOMUNIKAT

Wyszedł z druku Nr. 49-ty "Poradnika dla pracowników świetlic żołnierskich", wydawnictwa Polskiej YMCA w Wielkiej Brytanii.

W związku z przypadającą w roku bieżącym 150-tą rocznicą Insurekcji Kościuszkowskiej numer ten poświęcono pamięci jej bohatera.

Na całość składają się wyjątki z utworów z literatury polskiej i obcej, oraz liczne i mało znane fotografie i ilustracje.

UPROSZCZONY PODRĘCZNIK JĘZYKA POLSKIEGO DLA SAMOUKÓW

V. SWICZ

"FIRST STEPS IN POLISH"

ukazał się w druku.

Do nabycia w księgarniach polskich

cena sh. 4/6.

Głos krytyka angielskiego: *"This is not only a grammar, but an entirely new presentation of a language".*

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową — sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową — sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for " Polska Walcząca " by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.